

## *SERGE JACQUEMARD*

### **Pułapka**

#### Rozdział 1

Witali Smantow udawał, że przygląda się stiukom na suficie. W rzeczywistości nie tracił ani słowa z tego, co mówił Jean-Francois Dagueyre.

- Słucha mnie pan? - warknął ten ostatni.

Na ustach Rosjanina pojawił się nikły uśmiezek.

- Milczenie nie oznacza braku zainteresowania - odpowiedział sentencjonalnie.

- Sprawia pan wrażenie roztargnionego.

- Wpatrywanie się w twarz rozmówcy zmniejsza moją zdolność koncentracji. Będzie się pan musiał do tego przyzwyczać. Nie jestem Zugradinem.

Siemion Maksymowicz Ugorenko, którego Jean-Francois znał pod nazwiskiem Zugardin, przez wiele lat był oficerem prowadzącym francuskiego dziennikarza. Kiedy po śmierci Breżniewa sekretarzem generalnym KC KPZR wybrano Jurija Andropowa, Ugorenkę awansowano dzięki znakomitym ocenom figurującym w jego aktach personalnych i odwołano do Moskwy, gdzie objął ważne stanowisko w KGB. Jego miejsce zajął Witali Pawłowicz. W głębi duszy czuł, że Francuz nie jest zachwycony tą zmianą. Nie czuli do siebie sympatii.

Jean-Francois Dagueyre zasepił się.

- Z wami Słowianami nigdy nic nie wiadomo - powiedział zgryźliwie.

Rosjanin obojętnie wzruszył ramionami.

- Może wrócimy do Jacques'a Manlaya? - zasugerował, nadal kontemplując stiuki na suficie.

- Starajmy się nie popadać w dostojewszczyznę, inaczej nie unikniemy szablonu i celebry. A więc jak panu poszło u Manlaya?

- Udało mi się skłonić go do pokazania tego słynnego zdjęcia, o którym napomknął nie wiedząc, jaką przedstawia wartość.

- Nie wystąpił pan z propozycją kupna?

- Nie mogłem się zdecydować; ryzyko było za duże, mógłby zacząć coś podejrzewać.

- A jest pan pewien, że niczego nie podejrzewa?

- Absolutnie pewien.

Smantow zapalił jednego ze swych rosyjskich papierosów z długim ustnikiem, które kupował całymi kartonami w sklepiku przy ambasadzie. Dagueyre skrzywił się. Nienawidził zapachu tego tytoniu z zimnych krajów. Podszedł do okna, otworzył je i natychmiast na trzecie piętro dotarł ogłuszający hałas z niezwykle ruchliwej ulicy de Rtvoli.

- Proszę zamknąć okno - sucho rozkazał Rosjanin.

W duchu zgromił Siemiona Maksymowicza Ugorenkę za jego zbyt liberalizm i tolerancję. Odwieczny aksjomat nigdy nie traci na aktualności: trzeba mieć żelazną rękę w aksamitnej rękawiczce. Dagueyre za dużo sobie pozwala. Musi jak najszybciej wziąć go w cugle.

- Jest pan pewien że człowiek na zdjęciu to rzeczywiście Tanguy de Viellebois de Natachat?

- Nie ma mowy o pomyłce. Natachat, to brzmi trochę z rosyjska, prawda?

W jego słowach kryło się zawołowane szyderstwo. Smantow nawet nie drgnął.

- I Manlay nie zdaje sobie sprawy, jakiej ceny mógłby zażądać za to zdjęcie?

- Dla niego przedstawia wyłącznie wartość uczuciową, jest wspomnieniem z dawno już minionych lat burzliwej młodości. Wie pan, jacy są ci faceci ze skrajnej prawicy. Przy każdej okazji na powierzchnię wypływa ich harcerska przeszłość. Widok kwiatu lili wyciska im łzy z oczu. Gdy gregoriański chór odśpiewa im *Tantum ergo* rozdziawiają gęby z podziwu. To ludzie żyjący przeszłością, śmiesznie sentymentalni.

W jego głosie brzmiała pogarda. Dagueyre zaśmiał się donośnie i dodał:

- Manlay przypomina tych zacofanych ludzi, którzy w pańskim kraju biją jeszcze pokłony przed ikonami.

- O nic pana nie podejrzewał?

- Absolutnie o nic. Jestem dla niego sympatykiem prawicy, dziennikarzem, który wysmaży nieco nostalgiczny artykuł o jednym z widm przeszłości, oczywiście ze względu na policję nie podając, gdzie ono teraz przebywa. Manlay był tak wzruszony, że pokazał mi swoje archiwum. To zdjęcie jest niebywałym kąskiem! Gdyby go nie wyciągnął, wróciłbym

\* *Tantum ergo* „Pod tak wielkim Sakramentem upadamy na twarze”, średniowieczny hymn kościelny. (Przyp. tłum.).

z kwitkiem, bez żadnych szans na sprawdzenie czy w krążących plotkach jest coś z prawdy.

- Czy powiedział, jak zrobił to zdjęcie? W jakich okolicznościach?

- Podczas tajnego spotkania głównych uczestników akcji. Starłem się nie zadawać mu żadnych, dodatkowych pytań na ten temat. Bałem się, że zacznę coś podejrzewać.

- Dlaczego? - zdziwił się Smantow. - Ostatecznie dziennikarz powinien być ciekawy, a nawet wścibski.

- Ma pan rację - z ociąganiem przyznał Dagueyre - ale to sprawa takiego kalibru, że zaparło mi dech w piersiach. I odebrało mowę!

~ Czy Manlay zorientował się, jak bardzo jest pan poruszony?

- Nie. Był zbyt zajęty monologowaniem, grzebaniem się we wspomnieniach, ponownym przeżywaniem przeszłości. Mówi się, że zakochani są sami na świecie. Podobnie jest z ludźmi, którym zebrało się na wspominki.

Rosjanin spojrzął spod oka na Francuza. Nie podobał mu się filozoficzny ton, jakim Dagueyre przemawiał od pewnego czasu.

- Czy Manley miał dużo zdjęć? - spytał po chwili milczenia.

- Nie. Najwyżej trzydzieści. Podziemna działalność niezbyt temu sprzyja. I tak dobrze, że znajdują się jeszcze w jego posiadaniu.

- I była to jedyna fotografia, na której figuruje Viellebois de Natachat?

- Jedyna.

- A kto jest na innych?
- Koledzy z wojska, członkowie rodziny i

oczywiście inni uczestnicy zamachu.

Smantow zgasił papierosa w reklamowej popielniczce, której brzydota kontrastowała z umeblowaniem pokoju, świadczącym o wyrobionym guście.

- Inni uczestnicy zamachu?
- Ci, których nie zdołano aresztować.

Fotografie były robione za granicą w różnych egzotycznych zakątkach: w Rio de Janeiro, na Wyspach Bahama oraz w innych miejscach, z których trudno było ich ekstradować. W owych czasach mieli masę pieniędzy. Dokonali szeregu napadów, co przyniosło im mnóstwo forsy.

- Ilu ich było?
- Jeszcze dwóch.
- Co się z nimi stało?
- Zostali za granicą i jak mi powiedział

Manlay, rozpierzchli się po świecie. Zdaje się, że tylko on jeden tęsknił za krajem.

Smantow zmarszczył brwi i zastanowił się.

- Mozę tamci dwaj wiedzą o tej sprawie z Viellebois de Natachat - powiedział, choć w gruncie rzeczy wcale w to nie wierzył.

Dagueyre obłudnie podszedł znów do okna i otworzył je, by przewietrzyć pokój. Znów do salonu wtargnęły odgłosy z ulicy de Rivoli.

- Nie sądzę - rzucił przez ramię.
- Dlaczego? - zaproponował Rosjanin, mimo

że myślał dokładnie tak samo jak jego rozmówca.

-Któryś z nich powiedziałby o tym Manlayowi. Zarówno tamci trzej jak i on sam, nie przepuściliby tak niezwyklej okazji, a Manlay pamiętałby o tym zdjęciu. Co za wspaniała okazja do szantażu! Viellebois de Natachat niczego by im nie odmówił!

Smantow pokiwał głową.

- Może wyczuli, że to zbyt niebezpieczne - rozważał. - W końcu Viellebois został grubą - ba, nawet bardzo grubą rybą, daleko poza zasięgiem pukawek ekipy, o której pan wspominał. A gdyby starali się do niego dobrać przy pomocy broni większego kalibru, jest więcej niż prawdopodobne, że odpowie działby zadając brutalnie śmierć, co moim zdaniem wystarczyłoby, by zalecić tym ludziom ostrożność i rozwagę.

- Jestem dokładnie tego samego zdania - przytaknął Dagueyre, omiatając spojrzeniem elegancką perspektywę nabrzeża Voltaire.

Smantow doznał nagłego olśnienia.

- Ale czy ostatecznie Manlay wymienił jego nazwisko?

Daueyre odwrócił się całym ciałem i oparł o parapet okna.

- ' Rzeczywiście! - zawołał. - Ani razu nie wymienił nazwiska Viellebois de Natachat. Ale z pewnością przez dyskrecję? Manlay nie jest donosicielem.

Smantow nie mógł sobie odmówić marnego kalamburu, jaki mu przyszedł do głowy:

- Jest człowiekiem honoru, nie donosicielem.

Dagueyre skrzywił usta w uśmiechu.

-Proszę nie liczyć, że zacytuję pańskie gierki słowne w swoim artykule.

Rosjanin przerwał mu nie cierpiącym sprzeciwu gestem.

- Jeśli już o tym mowa; niech pan da sobie spokój z artykułem, jaki zamierza pan napisać o Manlayu i reszcie. Lepiej nie wzbudzać podejrzeń Viellebois. Musi mieć niezwykle wyczuloną uwagę na wszystko, co dotyczy tamtych czasów i może wskrzesić złe wspomnienia. Czy Manlay mówił, że Viellebois wie o istnieniu tego zdjęcia?

- Nie.

- Według mnie Manlay zrobił je po cichu albo na polecenie dowódcy komanda. Jest sprzeczne z wszelką logiką, by Viellebois pozwolił się fotografować. To kwestia zwykłej ostrożności. Ze wszystkiego co o nim wiem, mogę wnosić, że nie popełniłby takiego błędu.

- Teraz pańska kolej - powiedział Dagueyre ziewając. - Ja daję sobie spokój, jak pan mi kazał. Jeśli potrzebuje pan pomocy, mogę znów spotkać się z Manlayem.

Smantow przecząco potrząsnął głową.

- Dziękuję. Proszę tylko powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć.

W spojrzeniu Dagueyre'a odmalowało się zakłopotanie.

- To trochę skomplikowane, bo jest niesłychanie ostrożny i trzyma się z dala od miejskiego tłoku. Opiszę panu jednak, jak można dotrzeć do jego kryjówki. Acha! Jeszcze jedno...

W jego głosie zabrzmiała nuta sarkazmu.

- Będziecie musieli wziąć go z zaskoczenia. Manlay nie lubi obcych i ma przy sobie broń...



## Rozdział 2

- Zgadzasz się, żebym ci zrobiła test na temat filmu? - spytała Florence.

Manlay rozkoszował się smakiem starego alkoholu produkowanego w tych stronach, prezentu od zaprzyjaźnionego pasterza, który przez zaskakujący mimetyzm upodobił się do swych baranów.

- Test na temat filmu? - odpowiedział ostrożnie.

- Skąd go wytrzasnęłaś? Z jakiegoś pisma? Parsknęła śmiechem.

- Ależ nie. Sama go wymyśliłam.

- Po co?

- Żeby cię jakoś rozgryźć. Intrygujesz mnie.

Zanurzył rękę w chłodnej wodzie strumienia. Pasterz zapewniał, że między kamieniami przemykają pstrągi, a człowiek sprawny może je schwytać ręką. Manlaya aż bolały oczy od wypatrywania srebrzystego, migotliwego kształtu. Jednak mimo że mieszkał tu już od kilku tygodni, nigdy dotąd nie zobaczył choćby jednego pstrąga. A wzrok miał sokoli. Wniosek: albo pasterz się mylił, albo łągał, by wydać się kimś interesującym. Prawdopodobnie samotność

urozmaiconą jedynie towarzystwem baranów sprawiła, że wymyślał te bajki.

- Więc jak, zgadzasz się? - nalegała Florence. Wyjął rękę i otrząsnął z niej wodę.

- Zgadzą - przytaknął. Wesoło klasnęła w ręce.

- Zanim zaczniemy, zadam ci jedno pytanie. Czy widziałeś dużo filmów?

- Mnóstwo. Mam bzika na punkcie kina.

- Znakomicie. Tym wiarygodniejszy będzie test. Dobrze, zaczynamy. Który z wymienionych filmów ci się podoba: *Do utraty tchu*, *Pancernik Potiomkin*, *Przeminęło z wiatrem*?

- *Przeminęło z wiatrem*.

- Którego z następujących reżyserów najbardziej lubisz: Bergmana, Godarda czy Forda?

- Forda.

- Który z wymienionych aktorów jest twoim zdaniem najlepszy: Vittorio Gassman, Gerard Depardieu czy Humphrey Bogart?

- Nigdy nie widziałem Gerarda Depardieu. Ale jeśli chodzi o dwóch pozostałych, wybieram Bogarta, mimo że Gassman jest także utalentowanym aktorem. Biorę jednak pod uwagę styl, nie wartość.

- Zgoda. W każdym razie zaczynam mieć już jakieś pojęcie o twoich upodobaniach. Dlatego sądzę, że mając do wyboru Catherine Deneuve, Monikę Vitti i Raquel Welch będziesz się zastanawiał tylko nad Deneuve i Welch?

- Skądże - zaprotestował. - Wybieram Monikę Vitti. Bardzo mi się podobała *Czerwona pustynia* Antonioniego.

Uśmiechnęła się rozbawiona, lecz nie przekonana.

- Szachrujesz. I kłamiesz, a to wychodzi na jedno.

Zerwał źdźbło trawy i żuł je z drwiną w oku.

- Twoja analiza psychologiczna jest powierzchowna - zarzucił. A to niewybaczalne u pedagoga.

Wybuchnęła śmiechem.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie – powiedziała zrezygnowana.

Udał zdziwienie.

- To już koniec twego testu na temat filmu? Nie chcesz drążyć dalej?

- To mi wystarczy. Jesteś człowiekiem zafascynowanym przeszłością, amatorem produkcji hollywoodzkiej z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych, wielbicielem kina komercyjnego. Wolisz dobrych rzemieślników od artystów i nie interesujesz się poszukiwaniami twórczymi i estetycznymi. Prawdopodobnie po śmierci Marylin Monroe musiałeś zalewać się łzami, a dzięki Bardotce rozczulają cię skazywane na zagładę małe foki.

- Analiza psychologiczna więcej niż powierzchowna - powtórzył nie przestając żuć źdźbła trawy. - Niegodna osoby uczącej filozofii.

Zdjęła wstążkę przytrzymującą jej długie, czarne, uczesane w koński ogon włosy i zasłoniła sobie twarz zarzucając je do przodu. Potem wyciągnęła się naga na trawie i czołgała się ku niemu wołając:

- Szukam cię, gdzie się podziałeś?

Włączył się do zabawy i obrócił się na bok,

plecami do strumienia. Za młodą kobietą, na  
zmltretowanej

upałem trawie, leżała nieruchomo wstążka; jej błękitny kolor stanowił wesoły akcent na zrudziałym od słońca pastwisku.

On także zaczął się czołgać w górę strumienia, gdzie ziemia była miększa, bardziej sposobna do miłości, tam, gdzie postanowili mieć swe dzienne posłanie, chronieni przed palącym słońcem przez grupkę wierzb, tuż obok przyjacielskiego chłodu strumienia. Hołdowali temu rytuałowi codziennie od dnia, gdy się poznali przed zaledwie tygodniem. Dotarł do ich zakątka, zatrzymał się, rozpiął szorty, zsunął je i odrzucił nerwowym, precyzyjnym ruchem stopy na gęsty, miękki mech okalający pień wierzby. Niebawem przyłączyła się do niego Florence. Wyciągnęła ręce przed siebie, złapała go za kostki i głaskała je posuwając się coraz wyżej ku łydkom, odrzucając do tyłu włosy. Manlay pomyślał, że w połączeniu z oliwkową cerą owe długie, czarne, lekko falujące włosy nadają jej jakiś biblijny wygląd: z łatwością mógł ją sobie wyobrazić w czasach Chrystusa, jak po zdjęciu z krzyża ociera pot z ciała Umęczonego albo modli się u stóp Góry Oliwnej. Ale ta hipoteza, musiał przyznać, była wysoce nieprawdopodobna. *Jestem ateistką* - już drugiego dnia po poznaniu dumnie oświadczyła Florence, bawiąc się ze zdziwieniem małym, zawieszonym na szyi Manlaya krzyżykiem, który od czasu do czasu zahaczał o gęste owłosienie, pokrywające jego atletyczny, opalony tors. Była to pamiątka po Christianie Salvat, przyjacielu rozszarpanym na strzępy serią z pistoletu maszynowego; przed śmiercią zdjął go z szyi i

podał Manlayowi, a ten od tej chwili nigdy się z nim nie rozstawał.

Przewrócił się na plecy, a Florence wdrapała się na niego. Znowu przerzuciła włosy do przodu i łaskotała nimi policzki Manlaya. Odsunęła je i przycisnęła usta Florence do swoich. Pocałowała go namiętnie, z niezwykle zapamiętaniem, przerażona władzą, jaką już miało nad nią ciało tego mężczyzny poznanego zaledwie przed tygodniem, zaraz na początku wakacji w Ardeche. Trzeba przyznać, że zawsze pociągała ją miłość fizyczna. Już w trzeciej klasie liceum flirtowała z chłopakami. Potem prowadziła życie kobiety wyzwolonej, kosztując dań, które jej smakowały i dobierając je wedle rytmu własnej egzystencji. Mając trzydzieści lat uważała, że potrafi doskonale sterować swą łodzią pośród raf, dostawać więcej, niż daje sama. A teraz cały jej system wartości wziął w łeb. Zegar piaskowy odwrócił się i zadawała sobie pytanie, czy po prostu i po raz pierwszy w życiu nie jest naprawdę zakochana. Oddychała ciężko. Rozsunął jej uda, opadł na jej podbrzusze i delikatnie w nią wszedł.

Smantow postanowił wyrzec się na jakiś czas swych ulubionych, rosyjskich papierosów kupowanych w sklepiku przy ambasadzie. Zbyt rzuciły się w oczy. Przerzucił się na gauloise'y i rozkazał swoim ludziom, przynajmniej tym którzy palili, to znaczy Walcowowi i Skinowi, zrobić to samo. Streladze był uczulony na tytoń, więc jego to nie dotyczyło.

Po spotkaniu z Jean-Francois Dagueyrem, Smantow złożył raport rezydentowi KGB, zatrudnionemu na jakiejś posiadce w ambasadzie, a ten niezwłocznie zaalarmował Moskwę. Chodziło

o sprawę niezwyklej wagi, stwarzającą zawrotne możliwości. Gdyby się udało pomyślnie i zrećnie doprowadzić ją do końca, Tanguy de Viellebois de Natachat musiałby wpaść w sieci KGB. Miałby do wyboru albo<sup>1</sup> współpracę, albo samobójstwo, choć oczywiście takie wyjście nie leżało w interesie KGB. Tanguy de Viellebois de Natachat interesował je żywy, nie zamieniony w trupa. Rozpalona do białości Moskwa przysłała instrukcje równie długie, choć mniej zawile niż *Kapitał* Karola Marksa. Płynął z nich krótki wniosek: muszą dostać w swoje ręce faceta imieniem Jacques Manlay, a nade wszystko zdobyć ową słynną fotografię, która wywarła tak piorunujące wrażenie na francuskim dziennikarzu.

Rezydent zlecił to zadanie Smantowowi, a do pomocy przydzielił mu jeszcze trzech lokalnych agentów. Smantow wahał się. Czy nie byłoby lepiej uciec się także do usług Jean-Francois Dagueyre'a, jak mu to zresztą sam proponował? Miał tę zaletę, że znał Manlaya. Ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Dziennikarz był cenny na swoim podwórku, a pod niektórymi względami wręcz niezastąpiony. Smantow nie mógł więc narażać Dagueyre'a na dekonspirację zabierając go na wyprawę, której cele nie miały nic wspólnego z jego normalną pracą. W klasyfikacji KGB Dagueyre i Manlay poruszali się w sferach bardzo od siebie oddalonych. Zbliżenie ich do siebie było sprzeczne z doktryną tej instytucji. Dagueyre odkrył istnienie fotografii zupełnym przypadkiem, nie zaś dlatego, że jego orbita zakreślona przez KGB przecinała się z orbitą Manlaya. Trzema lokalnymi agentami byli Streladze, Walców i Skin. Należeli do służby

operacyjnej, którą KGB utrzymywała w Paryżu. Przeważnie nie mieli nic do roboty i Smantow podejrzewał, że trochę już wyszli z formy. Ale, jak sądził, Manlay także stracił formę. Schwytanie go i odebranie mu fotografii nie powinno stanowić większego problemu. Wsiedli we czterech do renaulta, zjechali na południe autostradą A-6 i zatrzymali się w Valence, by nazajutrz wczesnym rankiem ruszyć w drogę i mieć cały dzień na wykonanie zadania. Teraz przejeżdżali przez Coiron.

- Można by rzec, że to twój kraj - zażartował Walców pod adresem Streladze, który był Gruzinem. - Jest równie ubogi i pustylny.

- Nie znasz Gruzji! - wrzasnął dotknięty do żywego Streladze. - Gdyby nie ona, nikt w ZSRR nie wiedziałby, jak wyglądają owoce. Wy, Białorusini, nie potraficie nawet uprawiać pszenicy.

- Milczeć - uciął Smantow czując, że zanoszą się na jedną z owych odwiecznych, prowadzących do nikąd dyskusji, które ujawniały nieustanne tarcia między nacjami zamieszkującymi różne republiki; ich antagonizmy były widoczne również w łonie KGB.



Zapalił gauloise'a i spojrział na mapę samochodową, na którą naniósł niektóre wskazówki uzyskane od Jean Francois Dagueyre'a.

- Pierwsza droga na prawo - poinformował Skina, który siedział za kierownicą. - Mniej więcej za pięć, sześć minut - dodał.

Kiedy Skin skręcił, zobaczył, że znajdują się raczej na wąskiej drodze niż szosie. W głębokim parowie z mizerną roślinnością panował niesamowity upał. Skin prowadził wolno, z godną pochwałą ostrożnością, bo droga okazała się bardzo kręta. Smantow nie spuszczał oka z licznika kilometrów. Po upływie pół godziny polecił:

- Uwaga, zwolnij, jesteśmy już blisko. Po stronie prawej ukazała się przecinka.

- Skręcaj - rozkazał.

Skin posłuchał. Wjechali na polanę. Smantow strzelił palcami.

- Zatrzymaj się. To koniec naszej samochodowej podróży. Dalej pójdziemy pieszo.

Otworzył drzwiczki i wysiadł. Krajobraz zmienił się, był weselszy, cieplejszy, bardziej zielony. Jednak upał doskwierał tu równie mocno, niczym roztopiony metal. Wokół brzęczały owady.

- Przebieramy się - polecił Smantow.

Pomyślał o wszystkim; powinni wyglądać na najzwyczajniejszych turystów wędrujących po okolicy, na czterech serdecznych przyjaciół, którzy na jeden dzień oderwali się od żon i dzieci, lub na czterech wypoczywających kawlerów, co to wybrali się na długą wycieczkę z dobrą wałówką, zdecydowani

odnaleźć pierwotną radość, jaką daje wysiłek i marsz.

Przygotowany przez niego ekwipunek składał się z krótkich spodenek i koszulek, słomianych kapeluszy i solidnych górskich butów, toreb plażowych i okularów słonecznych, kanapek i napojów. W torbach plażowych były między innymi ukryte automatyczne pistolety z tłumikami oraz naukowy sprzęt przewidziany na wypadek, gdyby po schwytaniu Manlaya trzeba było już na miejscu wycisnąć z niego dodatkowe informacje. Zdaniem Smantowa Moskwa miała złudzenia, sprawa dotyczyła bowiem wydarzeń sprzed wielu lat i Manlay musiał już wszystko zapomnieć. W tym przekonaniu utwierdziła go jeszcze rozmowa z Jean-Francois Dagueyrem. Manlay nie miał najmniejszego pojęcia o wartości tego, co posiadał. W przeciwnym wypadku czy byłby na tyle naiwny, by pokazywać fotografię francuskiemu dziennikarzowi?

Skin, Walców i Streladze wysiedli także. Skin wyjął kluczyki ze stacyjki i poszedł otworzyć bagażnik, by wyjąć z niego różnokolorowe torby plażowe przygotowane dla każdego z czterech uczestników wyprawy. Smantow zabrał swoją i próbował rozejrzeć się w terenie. Odremontowana, stara owczarnia, gdzie zaszył się Manlay, musiała znajdować się mniej więcej o kilometr na północ stąd. Należało możliwie najbardziej wykorzystać efekt zaskoczenia i zaatakować Manlaya znieacka. Gdyby się to z jakiegoś powodu nie udało, fakt, że wyglądali na zwykłych turystów, powinien uspokoić Manlaya co do ich intencji. Dlaczego zresztą miałyby się bać,

skoro jedyną rzeczą, jaka mogła mu zagrażać, była ciekawość glin? Czemu miałby podejrzewać, że czterej spokojni piechurzy są przebranymi inspektorami policji?

Doszedł do skraju polanki i zobaczył strumień, o którym wspominał Dagueyre. Idąc wzdłuż jego krętego koryta dochodziło się do starej owczarni. Idący za nim Walców zapytał:

- Zaatakujemy go od tyłu? Smantow przecząco pokręcił głową.

- Najpierw chcę się tu trochę rozejrzeć. Palcem pokazał ścieżkę wijącą się wzdłuż wody.

- Pójdziemy w górę strumyka i będziemy udawać wędkarzy. Musimy na niego trafić. Zawołaj resztę.

Walców z odrazą patrzył na strumień. Jego miejska dusza buntowała się na pomysł Smatowa.

- Udawać wędkarzy? - powtórzył. - Ależ tu prawie nie ma wody! Co można złowić w takiej kałuży?

- Pstrągi - odparł Smantow, utkwivszy wskazujący palec w srebrzystym kształcie przemykającym między kamieniami.

### Rozdział 3

- Jestem głodna i chce mi się pić! -  
zawołała Florence. Manlay otworzył oczy.

- Która godzina?

- Minęło południe..

- Jesteś nienasycona.

- Dlaczego?

- Kochasz się wieczorem, w nocy, rano,  
po południu i znów od nowa. Nigdy ci nie dość!  
Ale masz zdrowie!

- Źle ci? Jeśli chodzi o zdrowie, to ty także  
nie możesz narzekać, prawda? -

Uśmiechnął się, a jego ręce zaczęły błądzić  
po nagim ciele młodej kobiety. Odsunęła je  
spiesznie.

- Jestem głodna i chce mi się pić -  
powtórzyła.

- W porządku - zgodził się - Chodźmy coś  
przekąsić.

Florence już się podniosła. Poszła po swą  
wstążkę i starała się związać nią włosy. Manlay  
włożył szorty, zapiął je i objął Florence, a potem  
zniechęca podstawił jej nogę. Straciła równowagę.  
Złapał ją zanim upadła, objął i przytulił do piersi.  
Roześmiała się uszczęśliwiona i pocałowała go.

-Wyglądasz raczej na uczennicę niż na profesora - zażartował.

- Odreagowuję cały nudny rok w liceum! Wydaje ci się zresztą, że w naszych czasach uczniowie potrafią się śmiać. Traktują się zbyt serio!

Przeniósł ją przez zalaną słońcem łąkę i postawił w przedśionku.

- Co zamierzasz zrobić na obiad? - spytał.

- Menu dla pustelników takich jak my. Zieloną sałatę, jajka na twardo, wiejską szynkę, kartofle z natką, sery, owoce.

- Czy przypadkiem nie nazywasz się Bocuse albo Oliver?

- Wolałbyś makaron? To jedna z moich specjalności.

Udając roztargnienie pogłaskał ją po biodrze.

- Uwielbiam włoską kuchnię, Włochów zresztą także, wszystko co włoskie...

Miał wciąż rozmarzony wzrok, ale jego ręka nie błędziła już po jej biodrze. Florence wyprostowała się, a potem od niego odsunęła.

- Mieszkałeś we Włoszech? - spytała z ciekawością, uświadomiwszy sobie znowu, jak mało wie o tym napotkanym tak niedawno człowieku.

- Przez wiele lat.

- Co tam robiłeś?

- Mieszkałem. To wszystko.

Powiedział to mimowolnie trochę suchym tonem, co ją dotknęło.

- Co ci przyszło do głowy? - zaprotestował, lecz jego ręka silniej zaczęła głaskać jej skórę, a umysł

pracować nad tym, jak zręcznie skierować jej uwagę

na inne tory. - Acha, czy wiesz na przykład, czym włoska demokracja różni się od demokracji zachodnich?

- Ludzie jedzą tam więcej spaghetti niż gdzie indziej?

- Pewno tak, ale nie o to chodzi. Oto co różni demokrację włoską od innych demokracji zachodnich: kiedy w Stanach Zjednoczonych pojawiają się problemy, niezadowoleni mają pretensję do Ronalda Reagana, w Zjednoczonym Królestwie wszystkiemu winna jest Margaret Thacher, we Francji oskarża się Francois Mitteranda, a kto jest kozłem ofiarnym we Włoszech?

- Papież? - podsunęła złośliwie Florence, robiąc prztyczka w krzyżyk zawieszony na piersi Manlaya.

- Nie. Przeciwnie niż w Stanach, Anglii czy Francji, we Włoszech o wszystkie grzechy świata oskarża się nie jego, ale jakieś pięćset osób w zależności od tego, czy jesteś akurat w Rzymie, Neapolu, na Sycylii czy w Mediolanie!

Florence wybuchnęła śmiechem.

- Słyszałam o spaghetti-westernach, ale nie o demokracji tagliatelli. Czy popełnię niedyskrecję, jeśli cię spytam, gdzie we Włoszech mieszkałeś?

Zrobił zręczny unik.

- W Weronie. Szukałem swojej Julii. Klepnął ją mocno po siedzeniu.

- Bierz się za obiad - polecił. - Ja pójdę po wino. Popchnął ją do domu, gdzie panował miły chłód dzięki zamkniętym okiennicom. Florence otworzyła jedną od północnej strony i światło wtargnęło do obszernego living-roomu, na którego

końcu znajdowała się staromodnie urządzona kuchnia z okapem przystrojonym wiankami cebuli, czosnku i suszącej się kielbasy. Manlay zszedł do piwnicy małymi schodkami o wydeptanych stopniach. Światło wpadające przez niewielkie okienka nie ogrzewało tego pomieszczenia; było tu tak chłodno, że poczuł lekki dreszcz. Wciąż zastanawiał się, dlaczego nieustannie pachnie tu kwaśnym mlekiem. Logicznie rzecz biorąc, rozumował, z powodu beczek miejscowego wina, jakie kazał tu złożyć, piwnica powinna raczej pachnieć dojrzałym moszczem winogronowym, a tymczasem dominowała tu woń skisłego mleka. Czyżby jakiś atawizm związany z tymi kamieniami, które dawały schronienie tyłu owcom?

Był tak wysoki, a sklepienie tak niskie, że musiał się schylić. Usuwał właśnie pustą butelkę ze skrzynki, gdy przez jedno z okienek dostrzegł zgiętą we dwoje sylwetkę człowieka biegnącego zygzakiem przez łąkę. Serce zaczęło mu bić jak młotem. Wypuścił butelkę z ręki. Z lasku po prawej stronie wyszło jeszcze dwóch mężczyzn i zachowywali się tak samo jak pierwszy. Natychmiast obudziło to czujność Manlaya. Gliny? - zastanowił się w duchu. Gliny przebrane za turystów, w szortach, butach do marszu, słomkowych kapeluszach, z plażowymi torbami. Czy chcą go zwinąć? Jak wpadli na jego ślad?

Przyszła mu do głowy przerażająca myśl. Czy sprzedał go Jean-Francois Dagueyre? Ale nie było czasu na domysły. Nie ma mowy, żeby dał się capnąć.

Pędem rzucił się ku schodom i wbiegł na górę przeskakując po cztery stopnie.

-Napiałabym się czegoś! - zawołała przez ramię Florence zajęta krojeniem pomidorów. - Bądź tak dobry, nalej mi kieliszek.

Chwycił ją za ramię i mimo protestów pociągnął za sobą.

- Zwariowałeś? Co cię ugryzło? Nie mów mi, że chcesz się ze mną przespać w chwili, gdy robię sałatkę?

Zmusił ją, by weszła do sypialni i położyła się na podłodze.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia - powiedział szorstko mimo woli. - Nie ruszaj się stąd. Mamy nieproszonych gości i sądzę, że nie wróży to nic dobrego. Nie chciałbym, żeby stało ci się coś złego.

- Co zamierzasz zrobić? - zaniepokoiła się całkiem zdezorientowana. - Co to za ludzie? Nie będę siedziała pod łóżkiem jak byle oferma! - zbuntowała się. - Idę z tobą.

- Nie. Zrób to dla mnie. Nie ruszaj się stąd. Puścił ją, rzucił się ku szafie, otworzył ją i wyjął

karabin winchester kaliber 30, który kupił od pewnego pasera w Marsylii wraz z imponującą ilością amunicji. Od dawna wypróbowywał tę broń w pustynnych parowach, jakich nie brak w Ardeche i zachwycił się jej precyzją i sprawnością, mimo że miała przecież swoje lata. Zdumiona Florence patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami.

- Co... co zamierzasz zrobić? - wybełkotała.

- Bronić nas.

- Ale... ale skąd wiesz - zdziwiła się - że ze strony tych ludzi coś nam grozi? Znasz ich? Czy ich...



Przerwał jej i rozkazał:

- Bądź cicho i nie ruszaj się stąd! Przede wszystkim nie waż się stąd ruszyć! Zabrzmiało to nieco pompatycznie.

Smantow zdziwił się widząc kobietę. Jean-Francois Dagueyre nie wspomniał mu, że Manlay; ma jakąś towarzyszkę życia. Skąd się tu wzięła? Wyglądało na to, że są w sobie po uszy zakochani. 1. Może są ze sobą od niedawna? Od całkiem niedawna? Co za wspaniała dziewczyna! Poza tym była prawie naga, co z uwagi na panujący skwar wydawało się logiczne. Skina, Streladze i Walcowa aż zamurowało. Ze swej kryjówki w krzakach patrzyli jak urzeczeni na harmonijne kryształy i cudownie opalone ciało młodej kobiety, którą Manlay wziął na ręce i zaniósł do starej owczarni.

Owa niespodziewana obecność zepsuła humor Smantowowi. Nie lubił, co było zgodne z doktryną KGB, by osoby trzecie, absolutnie nie związane ze sprawą, były wmieszane w określoną operację. Nader kateryczne rozkazy na ten temat nadeszły ostatnio z Moskwy, kiedy do sprawy zamachu na papieża włoski wymiar sprawiedliwości włączył tzw. bułgarski trop częściowo dlatego, że w przygotowanie całej akcji nieostrożnie wmieszano osoby trzecie.

Ostatecznie - rozumował Smantow - Manlay to kawał chłopca i całkiem zrozumiałe, że od czasu do czasu funduje sobie kawałek świeżego, apetycznego ciała. Ale czy właśnie tak jest? Może Manlay żyje z tą kobietą od dawna, tylko Dagueyre o tym nie wie?

Jeśli istotnie tak się sprawy mają to czy ona wie o istnieniu archiwum Manlaya? Było to więcej niż prawdopodobne. Może jest Włoszką? Manlay przez dłuższy czas mieszkał we Włoszech, gdzie znajdował się pod opieką Brygady Antymafijnej generała Dalia Chiesa, którego w ubiegłym roku zamordowano na Sycylii, bo chciał się dostać do skóry mafii. Prawdopodobnie Francuz został wynajęty przez Włochów do walki z Czerwonymi Brygadami. Miał albo wkraść się w ich szeregi udając, że jest jednym z nich, albo anonimowo likwidować podejrzanych w jakimś ciemnym zaułku Florencji czy Rzymu, bądź gdzieś na przedmieściach, w nędznych dzielnicach Mediolanu lub Neapolu. Stojący obok niego Walców poruszył się.

- Ale cizia - powiedział z podziwem. Streladze niecierpliwił się.

- Co robimy? - szepnął.

Smantow wiedział, że w swych rachubach nie może pominąć kobiety. Stanowiła integralną część problemu i jego rozwiązania. Dość zastanawiania się, nadszedł czas działania, a nie rozważań. Kątem oka popatrzył na Skina, który stał kilkadziesiąt metrów od niego i wycierał spocone czoło dużą, kraciastą chustką w jaskrawych kolorach.

- Dobra - postanowił chwytając za pasek swej torby plażowej - wyciągamy spluwy, nakręcamy tłumiki i atakujemy. Uwaga, strzelać tylko na mój rozkaz. Poczekajcie tutaj, pójdę powiedzieć Skinowi.

Pod osłoną krzewów doczołgał się do miejsca, gdzie stał jego agent i dał mu takie same

instrukcje co pozostałym.

- Ty będziesz nas osłaniał z tyłu, o tam, od strony strumienia.

- A kobieta?

- Kazano nam schwytac ich, nie zabic. Skin wzruszył ramionami.

- Jedno jest pewne. Nie mogą nikogo zaalarmować, to zupełne pustkowie. Obejdzie się nawet bez tłumików.

- Z tłumikami czy bez, mam nadzieję, że nie będziemy musieli otwierać ognia. Dobra. Kiedy zobaczysz, że zaczynamy, natychmiast zajmiesz pozycję i osłaniasz nas. Bronią posłużysz się tylko w ostateczności.

- Rozumiem.

Manlay chwycił starą drelichową kurtkę armii amerykańskiej w kolorze oliwkowozielonym i założył ją na nagi tors jedynie po to, by jej kieszenie służyły mu jako ładownice. Napełniwszy je spojrzał ostatni raz na Florence. Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy, by z jej twarzy znikł wyraz napięcia, i wybiegł z pokoju.

Po stronie przeciwległej niż kuchnia z okapem ozdobionym wiankami czosnku, cebuli i kiełbasy, stała drabinka prowadząca na strych. Szybko się po niej wdrapał. Powietrze na górze pachniało terpentyną. Lawirował między rozłożonymi na podłodze gazetami, na których suszyła się tym razem już nie cebula, czosnek i kiełbasa, ale ubiegłoroczne jabłka, pomarszczone niczym ludzkie głowy zminiaturyzo-

wane przez Indian z Matto Grosso. Owoce wydzielały kwaśną, świdrującą w nosie woń.

Ostrożnie otworzył lukarnę, na gzymisie położył winchestera, a potem sam wyszedł na dach. Słońce grzało niemiłosiernie. Po niebie fruwał sęp, jakby zapowiadając niedaleką śmierć jakiejś żywej istoty, której trupa rozszarpie na sztuki, a potem się nim napasie. Niżej, koło zamkniętych okiennic, brzęczały muchy.

Wychylił głowę i uśmiechnął się. Jego przewidywania okazały się słuszne. Trzej mężczyźni okrążali dom. Poza tym mieli w rękach pistolety z lufą przedłużoną długim walcem.

Natychmiast poznał że to tłumik i zaniepokoił się. Po co im tłumiki? Gliniarze ich nie używają. Nie przejmują się, że strzelając robią hałas. Prawo jest po ich stronie. Czy jest coś bardziej krzepiącego niż posiadanie prawa po swojej stronie? A jeśli nie są to stróże porządku publicznego, to kto? Nie wiedział, że poza glinami ma jeszcze jakiś wrogów. Przynajmniej we Francji. Kim byli, u licha, ci trzej faceci uzbrojeni w pistolety z tłumikami, To na pewno nie podmiejskie opryszki. A więc zawodowcy. Zawodowcy, ale jacy? Włosi? Czerwone brygady? Terrorysty z *Prima Linea*, których szefa zatrzymali niedawno w mediolańskim metrze faceci z Brygady Antymafijnej, pragnący pomścić swego szefa, generała Dalia Chiesa, zamordowanego przez mafię w lecie ubiegłego roku w Palermo? Terrorysty, którzy chcieli, by zapłacił za bezpardonowe czystki, jakie przeprowadził w Organizacji z polecenia Brygady Antymafijnej? Uśmiechnął się szerzej. Ale się natną!

Zniżył karabin, celował krótko i strzelił. Jeden z trzech mężczyzn upadł. Wziął na muszkę drugiego, za chwilę *on* także leżał na ziemi. Trzeci pobiegł wzdłuż budynku, ukrył się gdzieś i zniknął Man-layowi z oczu. Ale i tak był zadowolony. Dwóch na trzech. Musieli być nieźle pokiereszowani, może nawet martwi, bo nie dawali znaku życia; dwie postacie w dziwnych pozach leżały na rzadkiej trawie łąki pod bezlitosnymi promieniami słońca, które, przynajmniej takie wrażenie miał Manlay, prażyło coraz mocniej. A może - przekonywał sam siebie - to tylko wrażenie. Zawyrokował, że to emocje związane z tą akcją podniosły temperaturę jego ciała.

Usłyszał świst i schylił głowę. Kula odbiła się o cynową blachę, która aż zajęczała. Manlay zdumiał się. Kto to strzelał? Koło głowy przeleciał mu drugi, potem trzeci pocisk. Szybko na chybił trafił posłał serię w kierunku lasu, gdzie jak przypuszczał, zaczął się strzelec. Strzelec czy strzelcy? Zeskoczył między schnące jabłka i natychmiast pomyślał o Florence. Łajdak, który się ukrył, mógł w każdej chwili dostać się do starej owczarni, przemknąć do sypialni, znaleźć młodą kobietę i zabić ją lub wziąć jako zakładniczkę. Wyrzucił pusty magazynek i znowu załadował winchestera. Serce ścisnęło mu się na myśl o podobnej ewentualności i ze zdziwieniem stwierdził, jak bardzo mu zależy na Florence i jak bardzo się boi, czy nieznanemu napastnik jej nie skrzywdził. A przecież znał ją zaledwie od tygodnia. Przez wszystkie te lata nie miał czasu na sentymenty. Co się z nim działo? Czyżby zaszła w nim jakaś

zmiana? Czy zamierzał zrezygnować z miłostek bez przyszłości? Trzymając przed sobą karabin gotowy do strzału, postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny i zszedł w pustkę.



## Rozdział 4

Smantow był wściekły. Czyżby do cholery wyszedł z wprawy? Walców i Streladze oberwali i to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa paskudnie. Może nie żyli? Niewykluczone, bo żaden się nie ruszał. W najlepszym przypadku stracili przytomność. Jego ręka ściskająca tokarewa była mokra. Z jego winy już na początku ponieśli fiasko. Jego plan ataku nie wypalił. Niewątpliwie nie docenił Manlaya. Kiedy zobaczył, że jest po uszy zakochany w tej kobiecie, doszedł do wniosku, jak się okazało całkiem niesłusznie, że mężczyzna, który oddaje się rozkoszom zmysłowym znacznie opada z sił i traci zdolność obrony. Tak, niesłusznie, gdyż Manlay dał tego niezaprzeczalne dowody. Upływ czasu nic go nie zmienił: jest chytry, przebiegły, we wspaniałej formie. Wprawdzie Jean-Francois Dagueyre nie uprzedził o tym Smantowa, ale sam powinien się domyślić. Niewybaczalny błąd. Zramolał. Obowiązki oficera prowadzącego zbyt się różniły od pracy szefa służby operacyjnej, więc stracił związane z nią elementarne odruchy. Ale nie czas płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba pójść po rozum do głowy i znaleźć

wyście z sytuacji, postarać się, by odwrót nie przekształcił się w klęskę.

Co robi Skin? Czy wszedł do akcji? Trudno zgadnąć z powodu tłumika. Zastanówmy się. Manlay strzelał z dachu. Pewno dałoby się zejść go od tyłu, ale uwaga, jest przecież ta kobieta. Czy ma broń? Wszystko zależy od okoliczności, które sprawiły, że mieszka tu z Manlayem. Może jest terrorystką? Włoszką, członkinią jednej z siatek skrajnej prawicy, znajomą Francuza z czasów, gdy pomagał Brygadzie Antymafijnej generała Dalia Chiesa? Jeśli tak, to najprawdopodobniej ma przy sobie broń i nie zawaha się jej użyć.

Zastanawiał się, co robić. Nie ma rady, musi podjąć próbę dostania się do owczarni. Przesunął wzrokiem po krzakach, za którymi zaczął się Skin, ale nie udało mu się go dostrzec. Gdy Skin zobaczy że biegnie w kierunku domu, na pewno domyśli się, o co chodzi i będzie go osłaniał ogniem ze swojego pistoletu, Niestety, prawdopodobnie na tę odległość tokarew okaże się nieskuteczny. Szkoda, że Skin nie ma karabinu jak Manlay. Co tu dużo gadać, skarcił się w duchu, w wyprawie było za dużo improwizacji, za dużo nie przemyślanych szczegółów. Ale przecież, pocieszył się zaraz, wszystkiemu jest winna Moskwa. Zanadto się upierali, że sprawa jest ekstrapilna. Skutkiem pośpiechu jest powierzchowność koncepcji, a to zawsze wychodzi bokiem.

Zmusił się do porzucenia tych czarnych, demobilizujących myśli i znowu zerknął w kierunku krzaków. Skin nadal był niewidoczny. A może Manlay wciąż czatuje na dachu, a młoda

kobieta nie ma

broni i została sama na dole? Byłoby świetnie, rysowałaby się wówczas interesująca możliwość.

Kamienie fasady starej owczarni wydawały się rozgrzane do białości i parzyły go przez koszulkę z cienkiego płótna. Odsunął się, włożył pistolet między uda, wytarł mokre dłonie o szorty, a potem chwycił broń w lewą rękę i machał nią, żeby zwrócić uwagę Skina. W końcu zaczął przesuwać się w kierunku przedsiionka przeklinając słońce, które paliło boleśnie jego białą, wrażliwą, słowiańską skórę. W pewnej chwili dotarł do zamkniętych okiennic i zeszywniał. Przypomnił sobie pewne zdarzenie. Jakies dziesięć, dwanaście lat temu, agenci KGB, w tym i on, okrążyli w Turcji dom, w którym schronił się brytyjski agent ze *Special Intelligence Service*, as nad asy, słynny Colin Chesterwood. Jeden z agentów... jakże on się nazywał? Sołowiow czy Sałtykow, nie mógł sobie przypomnieć... dotarł także do okiennicy, a wtedy Chesterwood gwałtownie otworzył jedno jej skrzydło i walnął nim prosto w twarz Sołowiowa-Sałtykowa. Ten zachwiał się, odgiął do tyłu, a Brytyjczyk skorzystał z tego, by wlepić mu dwa pociski: w czoło i w gardło.

Wcale niegłupie. Smantow zgiał się we dwoje i prześliznął się pod oknem. Na wysokości jego policzka jaszczurka szybko skryła się w norkę w szczelinie fasady. Smantow szedł dalej wysuwając przed siebie tokarewa z nagrzanym przez słońce tłumikiem.

O dwa metry przed sobą usłyszał gwizd, a potem zobaczył, jak w powietrze wylatuje kamień; najpierw drgnął zdumiony, a dopiero później zrozumiał, że Skin daje mu w ten sposób do zrozumienia, że czuwa i osłania go. Podniesiony na duchu sunął wolno wzdłuż muru szacując, jakie szanse powodzenia ma ten manewr. Okazało się, że wcale nie jest powiedziane, że uda im się schwycić Manlaya. Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że będzie trzeba go wykończyć. Doszedł do wniosku, że mimo odległości broń Skina ma wystarczający zasięg, co może mieć wpływ na powodzenie akcji.

Wreszcie dotarł do przedsionka.

Manlay zajrzał do sypialni i odetchnął. Florence siedziała na kamiennej posadzce, wprawdzie wyglądała na przerażoną, ale była cała i zdrowa. Zobaczywszy go chciała wstać, lecz dał jej znak, by się nie ruszała. Zostawił ją i poszedł w stronę drzwi do przedsionka. Właśnie wtedy zobaczył człowieka, który starał się wślizgnąć do środka. Instynktownie strzelił z biodra. Nieznajomy odskoczył na zewnątrz. Manlay zrozumiał, że chybił. Intruz znowu zniknął na dworze.

Powoli zbliżał się do drzwi. Dzieliło go od nich zaledwie pół metra, gdy dostrzegł leżący na ziemi pistolet przedłużony tłumikiem. Schylił się nieco zdezorientowany, ale zaraz pojął co zaszło, spostrzegłszy, że walec tłumika jest zgięty. Wystrzelony przez niego pocisk trafił w tłumik, a siła uderzenia

wytrąciła napastnikowi pistolet z ręki. Za tą tezę przemawiał również fakt, że metalowa tulejka z otworami pozwalającymi na ujście gazów, była spłaszczona na długości trzech centymetrów, w miejscu gdzie uderzył pocisk.

Manlay wywnioskował stąd, że intruz nie ma teraz broni. Podniósł się i z wycelowanym przed siebie karabinem podszedł do drzwi. Wypuścił serię w kierunku krzaków, za którymi prawdopodobnie siedział człowiek strzelający do niego, gdy był na dachu; ukrył się natychmiast po przeciwnej stronie drzwi, by zmylić przeciwnika. W końcu jednak wychylił głowę, chcąc przyjrzeć się kolejnemu napastnikowi.

Nikogo nie było. Tylko rzadka trawa na łące i dwa ciała prażące się na bezlitosnym słońcu, rozgrzane do białości kamienie i wiciokrzew przyczepiony do frontonu przedsionka, umęczony kanikula.

Obramienie drzwi zadźwięczało pod uderzeniem kuli, która w nie trafiła. Manlay szybko odskoczył do tyłu rozrywając rękaw amerykańskiego drelichu o ostry kant narożnika. Druga kula jęcząc boleśnie odbiła się od kamienia i wyrwała z niego odłamek, który upadł Manlayowi pod nogi. Uskoczył zdumiony. Pod piętą poczuł pistolet, machinalnie podniósł go i położył na stole. Dopiero wówczas zorientował się, że jest to niecodzienna, rzadko używana broń: tokarew radzieckiej produkcji. Co to mogło znaczyć? ZSRR dostarczał oczywiście broń wielu ludziom, ale na ogół „prał” ją - to znaczy używał jako pośrednika któregoś z krajów satelickich: Czechosłowacji, Wschodnich Niemiec, Polski, Bułgarii, Węgier i Rumunii, Pod tym względem

zamach na papieża był typowy dla taktyki KGB, które notorycznie zalecało wykonanie różnych zadań swym wasalom, w tym wypadku Bułgarii. Czy teraz dostarczyło broń Włochom z Czerwonych Brygad i *Prima Linea*? A jeśli to rzeczywiście Włosi? Jak wpadli na jego ślad? Powróciło straszliwe podejrzenie: czyżby wydał go Jean-Francois Dagueyre?

Znów zaczął się za drzwiami, a jednocześnie starał się obmyślić jakiś plan działania. Na razie chyba lepiej nie wychodzić na zewnątrz, to zbyt niebezpieczne. Powtórnie wychylił głowę i rozejrzał się. Nikogo nie było. Za plecami usłyszał jakiś hałas i natychmiast odwrócił się z karabinem gotowym do strzału. Była to tylko Florence. Podbiegła do niego i zauważył, że cała drży. Obmacywała go obiema rękami.

- Nie zranili cię? Jej głos trochę się łamał.

- Nie, uspokój się. - Usłyszałam strzały, zlekłam się... Kim są ludzie,

o których mówisz? Gdzie są?

- Dwóch chyba nie żyje - powiedział bez ogródek. - Jeśli nie zginęli od moich kul, wykończy ich słońce.

Otworzyła przerażone oczy.

- Zabiłeś ich? Poklepał kolbę karabinu.

- A jak ci się zdaje, do czego służy ta broń?

- Ale dlaczego? - zaprotestowała. - Nawet nie wiedziałeś, czego od ciebie chcą?

Poirytowany wskazał jej podbródkiem leżącego na stole tokarewa.

-A to? Sądzisz, że miało ci pomóc kroić pomidory do sałatki?

Podeszła i z respektem spojrzała na broń.

- Jak go zdobyłeś?

- Ktoś, kto chciał tu wejść, upuścił go, gdy jedna z moich kul trafiła w tłumik; ten długi walec przykręcony do lufy.

Potrząsnęła głową, jakby starała się odwrócić zły los, który się przeciwko nim sprzysiągł.

- Ależ to idiotyczne, nie do wiary, to jaki obłąd! Siedzieliśmy sobie tutaj spokojnie, właśnie mieliśmy zjeść objad, kochaliśmy się, byliśmy szczęśliwi, aż tu nagle zjawiają się jacyś obcy ludzie uzbrojeni w pistolety z tłumikami i nawet nie wiemy, czego od nas chcą!

- Czego ode mnie chcą - poprawił Manlay.

- Chodzi im o ciebie?

- A czego mogliby chcieć od ciebie? - odparował i nagle zdał sobie sprawę, że ledwo zna tę kobietę i że ostatecznie może chodzić o nią, nie o niego.

- Ode mnie? Niczego - stwierdziła krótko. Sam orzekł, że się mylił. Chodziło o niego. Było to bardziej wiarygodne, logiczne. Poza tym...

- Ilu ich jest? - zapytała.

- Co najmniej czterech. Dwóch już wyeliminowałem. Ale nie możemy wyjść z domu, bo strzelają.

Nerwowo zagryzła wargi.

- Co poczniemy? Jak myślisz, o co tu chodzi? Czy to jakiś gang młodocianych?

Zadrżała.

- Może widzieli mnie nagą i chcą mnie zgwałcić? - rzekła głosem, w którym brzmiało



przerażenie.

- Młodociani gwałciciele uzbrojeni w tokarewy z tłumikami? Bzdura! - stwierdził kategorycznie.

Rzeczywiście prześladował go pech. Smantow miał ochotę rozplakać się z wściekłości. Skrzywił się z bólu i zaczął energicznie rozcierać zadraśnięty nadgarstek. Kula Manlaya trafiła w walec tłumika, a uderzenie było tak silne, że Smantow w pierwszej chwili pomyślał, że urwało mu rękę. Ból był tak dojmujący, że upuścił broń i wypadł na zewnątrz w przeświadczeniu, że zostało mu już tylko jedno wyjście: ucieczka. Na szczęście Skin osłaniał go umiejętnie i skutecznie. Nie miał wątpliwości, że gdyby nie on, Manlay skorzystałby z drugiej szansy i wpakowałby mu kulę w plecy, kiedy biegł zakosami przez łąkę. Przyklęknął jednak na moment przy Streladze i Walcowie. Obaj nie żyli; obu trafiono prosto w głowę. Nie czekał dłużej, zabrał ich tokarewy i dał nura w las. Skin patrzył na niego wybałuszonymi oczami.

- Nie żyją? - krzyknął, gdy Smantow powiedział mu o Walcowie i Streladze. - Ale kim do jasnej cholery, jest ten szakali pomiot?

Natychmiast załadował broń i z wściekłością oddał kilka strzałów w kierunku przedsionka. Smantow uspokajał go, ale nie za ostro, bo przecież Skin widział na własne oczy fiasko przeprowadzonej operacji i gdyby kazano mu wystąpić w roli świadka albo przynajmniej sporządzić dla Służby Operacyjnej raport na temat okoliczności śmierci Streladze

Walcowa, mógłby umoczyć Smantowa do tego stopnia, że niechybnie popadłby w niełaskę, a niełaska w rozumieniu KGB oznaczała przydział do jakiegoś zapadłego kąta na Syberii lub Uralu, gdzie przyroda i ludzie jakby się sprzysięgli, by życie na ziemi uczynić nie rajem, ale socjalistycznym piekłem.

- Co robimy? - warknął Skin. - Ten facet to snajper. Powinniśmy zabrać ze sobą granaty burzące. Moglibyśmy wtedy rozwalić mu ten przeklęty barak i wysadzić faceta w powietrze razem z tą cholerną dziwką!

Smantow bezwiednie potrząsnął głową. Nie ma mowy, żeby owczarnię wysadzić w powietrze. Z powodu fotografii. Manlay pewnie ją tu trzyma razem z innymi rzeczami. Muszą ją zdobyć. Był to główny cel jego misji, która jak dotąd skończyła się porażką na całej linii. Ale trzeba wziąć się w garść i znaleźć jakieś rozwiązanie. Niestety, Manlay miał się teraz na baczności.

- Strzela z winchestera - stwierdził Skin. - Poznałem broń, kiedy był na dachu. Zatem ma nad nami przewagę. Nasze tokarewy nie mogą rywalizować z jego winchesterem. Ale z drugiej strony znalazł się w pułapce. Jeżeli wpadnie na pomysł, żeby wyjść i nas poszukać, jest ugotowany. Pozwolimy mu się zbliżyć, a potem damy w czapę. I na odwrót, jeśli my będziemy starali się dostać do domu, wystrzela nas jak gołębie.

- Musimy poczekać, aż się ściemni - westchnął Smantow i skrzywił się, bo ból w nadgarstku nie mijał.

-Znaleźliśmy się w pułapce - oświadczyła Florence załamując ręce.

Nie skarżyła się. Stwierdziła.

- Ale kim są ci ludzie? - zapytała jeszcze raz, obrzucając Manlaya podejrzliwym spojrzeniem. Czy nie masz czegoś na sumieniu?

Speszony spojrział na nią szybko.

- Co masz na myśli?

- Może to gliny? ‘

Przecząco potrząsnął głową i postukał palcem w kolbę tokarewa.

- To broń produkcji sowieckiej. Sowieckiej, rozumiesz? Żaden francuski gliniarz nie używa sowieckiej broni. Gdyby to robili, zdajesz sobie sprawę, jaki patriotyczny wrzask by się podniósł? To zupełnie nieprawdopodobne. Nawet na broń produkcji amerykańskiej nikt by się nie zgodził. Gliny zaopatrują się w Fabryce Broni w Bayonne lub w Chatellerault, nie w Breżniewgradzie.

- Jeśli to nie policja, to kto? Czyżby przypadkiem wybrali sobie akurat tę owczarnię?

- Tak, przypadkiem - skłamał, bo absolutnie w to nie wierzył.

- Wszystko to wydaje mi się dziwne - stwierdziła.

- Lepiej zejdź do piwnicy i utocz nam wina - poprosił.

- Przed chwilą konaliśmy z pragnienia, potem zapomnieliśmy zupełnie, że chce nam się pić.

Wstała z ociąganiem, nie wiedząc, jak powinna postąpić. Popchnął ją delikatnie w kierunku scho-

dów do piwnicy. Musiał być sam, aby się zastanowić i obmyślić jakiś plan działania. Owczarnia leżała na odludziu, nie było zatem nadziei na żadną pomoc. Mógł liczyć wyłącznie na siebie. Jak zawsze.

Uchylił skrzydło okiennicy, żeby się zorientować, jak wygląda sytuacja od strony, z której bezsprzecznie padły wymierzone w niego strzały, gdy znajdował się na dachu. Lasek. Tam zaczął się strzelec, lub strzelcy\* Tam też schronił się człowiek, który zgubił swego tokarewa, kiedy się wycofywał osłaniany przez współnika lub współników. Pomacał kieszenie wypchane magazynkami. Dysponował niezłym zapasem amunicji. Nawet jeśli znalazł się w oblężeniu, czemu nie miałby zdecydować się na kontratak albo wypad wedle najczystszej, średniowiecznej tradycji? Obrońcy twierdzy robili to, by rozluźnić zaciskające się wokół nich kleszcze.

Florence wróciła z litrową butelką czerwonego wina. Postawiła ją na stole, odsunawszy uprzednio tokarewa za wazon z polnymi kwiatami zebranych o świcie tego ranka, kiedy Manlay jeszcze spał, syty po miłosnej nocy, podczas której ich ciała zmagaly się w długich namiętnych uściskach.

- Wyjrzałam przez okienko w piwnicy - poinformowała go - nie zobaczyłam nic poza...

Jej ramiona lekko zadrżały.

- ... dwoma ciałami... Sądysz że nie żyją?

- Nikt nie przeżyłby na podobnym słońcu.

Przynieś szklanki.

Zamknął okiennicę. Nagle poczuł niesamowity głód i pragnienie, które bardzo dawało mu się we znaki. Kiedy Florence wróciła

ze szklankami, oboje

wypili sporo chłodnego, odrobinę szczypiącego wina.

- Nie ma sensu szykować prawdziwego obiadu - poradził - ale może zrobiłabyś kanapki. Dosłownie konam z głodu.

- A mnie głód przeszedł - stwierdziła. - Mam raczej wrażenie, że żołądek skurczył mi się i zwięził.

Sergio Livio... To nazwisko pojawiło się jak błyskawica w głowie Manlaya, a jego palce instynktownie zacisnęły się na kolbie Winchestera, jakby chciał zgnieść ją w ręce. Sergio Livio, człowiek numer dwa w *Prima Linea* nowego stylu. Ma na sumieniu zamordowanie około trzydziestu osób: karabinierów, sędziów, członków swojej własnej siatki, przerażonych coraz to bardziej krwawymi zamachami. Na pierwszą ofiarę wybrał sobie naczelnego dyrektora fabryki, która wypuściła do atmosfery mieszaną dioksyny, przez co zatrąła miasteczko Seveso i spowodowała śmierć dziesiątków ludzi. Potem zabrał się za sędziów śledczych, którzy ścigali terrorystów z Czerwonych Brygad i *Prima Linea*. Jednym z jego słynnych wyczynów było zorganizowanie ucieczki z więzienia w Rovigo czterech kobiet, członkiń jego organizacji. Musiał w tym celu wysadzić w powietrze, pod murami więzienia, samochód załadowany plastykiem. Przez powstały w ten sposób wyłom uciekły cztery terrorystki. Kiedy dwa miesiące później zatrzymała go toskańska policja, zabił dwóch karabinierów i zdołał wymknąć się z zasadzki, jaką przygotowali dla niego Manlay i Brygada Anymafijna. Był to bezlitosny, żądny krwi morderca, który poprzysiągł sobie, że zabije Manlaya. Może to

on z członkami swojej siatki zaatakował owczarnię? Jeśli tak, jedno się nie zgadzało. Terrorysty z *Prima Linea* jak powszechnie wiadomo, zawsze posługiwali się rewolwerami firmy Baretta. Czy mogli ostatnio przerzucić się na tokarewy? Niezbyt prawdopodobne.

- Z czym ci zrobić kanapkę? - spytała Florence.

- Z wiejską szynką.

- Dać parę korniszonów?

- Nie za dużo. I pokrojone. ‘

Sergio LMo... Nie, to niemożliwe; on zaatakowałby przy użyciu granatów burzących i zapalających, a stara owczarnia już dawno byłaby kupą popiołu.

- Jeśli im chodzi o ciebie, o co mają do ciebie pretensję? - zapytała Florence, smarując masłem kromki żytniego chleba.

- Z pewnością o jakieś zamierzchłe historie, z którymi ty nie masz nic wspólnego, ale w które, niestety, zostałeś zamieszana.

Nie ustępowała:

- Jakie zamierzchłe historie?

- Są tak stare i tak pokryte kurzem, że gdyby je poruszyć, zaczęłoby cię kręcić w nosku. Daj spokój, tak będzie lepiej.

- Przez cały ten krótki tydzień zawsze byłam w głębi duszy przekonana, że musiałeś mieć niebezpieczne życie. Poza tym przed chwilą powiedziałeś, że ci ludzie zaatakowali nas przez zupełny przypadek. Jedno jest nie do pogodzenia z drugim. Masz, jedz. Ja nie mogę. Wydaje mi się, że mam w żołądku wielotonowy ciężar, zwłaszcza gdy pomyślę o tych dwóch ciałach na łące.



Podawała mu kanapkę, którą zaczął łapczywie jeść. ~ Tobie ta myśl nie odbiera apetytu?

- Jestem obeznany ze śmiercią, a moim zdaniem, ci dwaj faceci nie żyją.

Zobaczył, że zbladła.

- Tylko się nie rozczulaj - uprzedził - Skąd wiesz, że żyłabyś jeszcze, gdyby tu weszli?

Jedząc z apetytem kanapkę podszedł do drzwi i ukrył się za ich obramowaniem. Nie ma mowy, żeby dał się sprzątnąć jak byle nowicjusz. Szybko wyrzał na dwór. Nadal nie było nikogo poza dwoma ciałami leżącymi wciąż w tym samym miejscu. Tak, na pewno nie żyją. Nadlatywały całe szwadrony wielkich, bzyzcących much. To niezawodny znak. Poczują odór śmierci. Wkrótce znikną, poszybują w kierunku trupów. Schylił głowę. W pobliżu nie było nikogo. Słońce paliło tak mocno, że Manlay aż się dziwił, iż sucha trawa na łące jeszcze się nie zapaliła. W pewnej odległości fruwał sęp. Drugi niezawodny znak, że obaj napastnicy nie żyją.

Cofnął się.

- Zobaczyłeś coś? - sytała Florence głosem pełnym napięcia.

- Nie. Jest spokojnie. Chyba czekają na jakiś ruch z naszej strony.

- Co możemy zrobić?

Położył na stole niedojedzony kawałek kanapki, nalał sobie wina, wypił jednym haustem, zrobił to jeszcze raz, a potem znów zaczął jeść. Jego spojrzenie biegało od drzwi do Florence. Między dwoma łykami powiedział:

- Najlepszym sposobem obrony jest atak.

Wzdrygnęła się  
przestraszona.

- Chcesz wyjść i ich  
szukać?

- Nie. Mam lepszy  
pomysł.

## Rozdział 5

Szedł szybkim, miarowym krokiem. Na jego ramieniu błyszczał zawieszony na płóciennym pasku winchester. Lufę osłaniał futerał z tego samego płótna. Było to owo grube, szorstkie, stare płótno, z którego jeszcze przed Pearl-Harbor szyto wszelkie akcesoria dla amerykańskiej armii i któremu niezmiennie wierna pozostała aż dotąd. Pas podtrzymujący ładownice wisiał mu na brzuchu na wysokości pępka. Wolałby mieć dobre turystyczne buty, ale nie miał czasu, by zmienić pantofle na obuwie lepiej nadające się do marszu. Dlatego nogi trochę mu się męczyły, a raczej grzały. Mimo to czuł się dobrze. Upajał się ową dziką egzaltacją, jaka w nim zapanowała, wysyłając całemu ciału dobroczynne fale, które można by przyrównać do działania morfiny; wstrzykiwano mu ją w szpitalu, gdy ataki stawały się zbyt bolesne. Następujące potem odrętwienie sprawiało, że przestawał cierpieć, ogarniało go uczucie wyzwolenia, uniesienia. Potem nie czuł już nic. Oczywiście w tej chwili nie ma mowy o żadnym uspokojeniu. Przeciwnie. Czuł, że może podbić cały świat, rozprawić się ze

wszystkimi sitami Zła, jakie się na niego zawzięły i sprzysięgły, by go zniszczyć; zjednoczyły się, by go bezlitośnie pokonać.

Znał na pamięć geografię departamentu Ardeche, wszystkie możliwości ucieczki, grotty, kryjówki, głębokie parowy, niedostępne zarośla, ściśnięte wysokimi brzegami strumienie, gęste lasy. Zagłębi się w nie, schowa, przypadnie, będzie jednocześnie Piętaszkiem i Robinsonem Cruzoem. Do rozwiązania pozostawał tylko jeden problem: pożywienie. Zatrzymał się na chwilę wśród leśnych krzewów poprzecinanych tu i ówdzie promieniami słońca i głęboko wciągnął powietrze w płuca. Oczywiście winchester jest bronią zbyt dużego kalibru, by polować z niej na zające, ale przecież może celować tylko w głowę. Był bardzo dobrym strzelcem. W tej dziedzinie nie miał sobie równych. Więc jakoś przetrwa. Są też ryby. Na jedno powinien uważać: ogień, na którym musi gotować mięso lub ryby. Ognisko może go zdradzić. Trzeba go będzie palić tylko w dzień, tą mniejszy niebezpieczeństwo. Sezon wakacyjny jest w pełni, a ludzie, którzy przejęli się ideami ekologicznymi poszukują odludnych zakątków, gdzie czują się bliżej odwiecznej przyrody. Wspaniale. Samotne namioty, oto rzecz, jakiej mu trzeba.

Ruszył dalej. Wąską dróżką nikt nie chodził, od czasu gdy w ubiegłych dziesięcioleciach ludność rolnicza wyemigrowała do miast, by - jak śpiewa Jean Ferrat - zasilić szeregi administracji i podnieść liczbę urzędników sortujących listy na pocztę, celników, strażników więziennych i członków C.R.S.

Zatrzymał się przy polu poziomek, których mocny zapach rozchodził się w powietrzu. Zdjął karabin, postawił go przy kępie pokrzyw i począł delikatnie zrywać ciemnoczerwone owoce. Kładł je na język, a potem smakował z respektem, bo wiedział, że to rzadki rarytas zasługujący na specjalne względy.

Szybko się najadł, bo w rzeczywistości nie był naprawdę głodny, a zatrzymał się tu jedynie przez łakomstwo. Oparł się, o pień osiki, przyciągnął bliżej siebie karabin i machinalnie, jakby chodziło o domowego psa, który przyszedł poprosić o jakąś pieszczotę, pogłaskał go po kolbie.

Szakale musiały się już puścić moim tropem - pomyślał, ale było wielce nieprawdopodobne, żeby gliniarze choć w przybliżeniu wiedzieli, w jakim kierunku uciekł. Departament był bardzo rozległy. Przypomniała mu się pewna stara historia. Sześć lat temu jakiś człowiek zabił paru żandarmów, a potem zbiegł w lasy departamentu Ardeche. Sześć lat! I żandarmi dotąd go nie złapali. Było to więcej niż zachęcające, było budujące. Fakt ów bowiem dowodził, że jeśli ktoś zna równie świetnie jak on możliwości, jakie daje ta okolica, może być pewien swoistej bezkarności.

Zapalił gauloise'a zapalniczką oznaczoną jego inicjałami: C. L. Dostał ją od matki. Biedna matka, umarła przy pracy. Pewnego dnia pobił się przy kontuarze bistra z jakimś pijanym konsumentem, który bez pytania wziął tę zapalniczkę, żeby sobie przypalić papierosa, a na widok jego inicjałów zakrzyknął: „C. L., to znaczy *Credit Lyonnais* prawda”? O mało tego faceta nie

zabił, bo nienawidził, gdy ktoś się z niego wyśmiewał. Corinne umarła, bo się z niego śmiała. Wszystko to przez nią. Gdyby nie ona, nie popełniłby tej długiej serii zabójstw...

- G. I. G. N./3 do bazy.

- Tu baza. Słucham cię.

- Przelatujemy nad wyznaczonym obszarem. Pozycja 44 do 58. Trzecie podejście. Nie ma nic do zasygnalizowania.

- G. I. G. N./3, podajcie, czy zauważyliście jakichś ludzi?

- G. I. G. N./3 do bazy. Rzeczywiście zauważyliśmy ludzi na kempingach i kąpiących się w rzece. Z jej nurtem płyną nawet dwie łódki. Na pokładzie dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Mały ruch samochodowy. Na szosie, na pozycji 51 rozkraczona ciężarówka. Szofer zmienia przednie, lewe koło.

Przez szum przedarł się szyderczy głos.

- Dzięki za te szczegóły, G. I. G. N./3. Ale nie musicie siadać na ziemi, żeby pomóc szoferowi ciężarówki. Pamiętajcie, że wasza maszyna nie jest czarterowana przez Pomoc Drogową. Baza nie ma do was więcej pytań. Informujcie, jeśli coś się zmieni.

- G. I. G. N./3, koniec rozmowy.

Podpułkownik żandarmerii Gardinot rzucił pośpieszne spojrzenie w kierunku podoficera, który po zakończeniu rozmowy z helikopterem odwiesił mikrofon, a potem odwrócił się do swego zastępcy, majora Frapier.

- Nie ma mowy, żeby utrzymać sprawę w sekrecie

- oświadczył z emfazą. - Jestem pewien, że prefekt uzna nasze racje. Musimy go przekonać, bo inaczej wszystkiemu będzie winna żandarmeria.

Frapier z powagą skinął głową.

- Wiadomość o mordercy na wolności wzbudzi panikę wśród wczasowiczów. Ze względu na własne bezpieczeństwo wszyscy wyjadą z naszego departamentu, a prawdopodobnie również z departamentów ościennych. Znamy to już z przeszłości.

- Christian Lafaure przebywający na swobodzie jest zdolny do najgorszego. Musimy uprzedzić ludzi na kempingach oraz wielbicieli przyrody, zwariowanych na punkcie ekologii, którzy szukają samotności i tego, co uważają za Raj na Ziemi w stanie czystym. W owych czasach żyli Adam, Ewa, Abel; wszystko to prawda, ale był także Kain. Zupełnie nie biorą tego pod uwagę. Musimy ich ostrzec. Natomiast prefekt myśli o smutnej sławie, jaką zyska kierowany przez niego departament. Ale to już nie nasze zmartwienie. My musimy raczej zapobiegać niż leczyć.

- To nie powinno być trudne - przytaknął Frapier. - Kto w naszych czasach spaceruje bez tranzystora?

- Chyba że woli przyklejonego do uszu

walkmana

- wtrącił podpułkownik Gardinot.



-Podamy tę informację przez wszystkie radiostacje. - Ale bez wątpienia wybuchnie panika - zauważył Frapier.

Jego zwierzchnik zrobił wyniosły ruch głową i strzelił palcami w kierunku podoficera.

- Lachal, proszę mnie połączyć z prefektem - rozkazał.

Manlay ostrożnie otworzył lukarnę, położył winchestera na gzymsie, a potem sam wspiął się na niego i położył się na brzuchu. Słońce nadal paliło] równie mocno. Sęp nie znikł z horyzontu, fruwał nisko, pewno wciąż jeszcze miał wątpliwości. Krążył nad dwoma wyciągniętymi na trawie ciałami i bacznie obserwował okolice, instynktownie bojąc się, czy skądś nie padnie zdradziecki strzał.

Manlay pogrzebał w kieszeniach i zanim sięgnął) po karabin, wyjął magazynki. Potem podniósł win-chestera do ramienia i wycelował w leśne poszycie. Używał karabinu M2 z drewnianą kolbą podobną do tej, jaką ma M1, ale z broni tej można było oddawać albo pojedyncze strzały, albo posyłać serie po pięć-naście pocisków każda. Ustawił przełącznik karabinu na ogień seryjny. Mocno przycisnął broń do ramienia, wzrokiem objął linię celu, nacisnął na spust i zaczął strzelać krótkimi seriami po trzyj cztery pociski każda, jak przystało na zawodowca jego klasy. Żałował, że nie ma pocisków zapalających.

Podpaliłbym te cholerne, wysuszone gorącym słońcem krzaki i szybko wykurzyłbym stąd to tałatajstwo - myślał zmartwiony. Ale i tak kule muszą wyrządzić jakieś szkody - przekonywał sam siebie, po opróżnieniu pierwszego magazynka włożył następny i powtórzył operację, strzelając od prawej do lewej i od lewej do prawej. To samo zrobił z trzecim magazynkiem, a potem z czwartym. Wystrzelił sześćdziesiąt pocisków. Włożył piąty magazynek, ale tym razem nie nacisnął na spust. Rozglądał się usiłując określić, jaki efekt odniosły jego serie. Żałował, że nie ma lornetki. Ze swego stanowiska widział jedynie połamane gałęzie, strącone liście i ogołoczone pnie drzew. Żadnego krzyku bólu, żadnego jęku ani riposty.

Czy napastnicy uciekli zanim zaczął strzelać seriami w las, stwierdziwszy, że ich plany spaliły na panewce? A może tylko zmienili pozycję?

Zostawił na miejscu opróżnione magazynki i zaczął się czołgać po gzymsie obserwując, co dzieje się wokół. Od czasu do czasu wychylał się, by sprawdzić, czy któryś z napastników nie zakradł się pod mury starej owczarni i nie posuwa się, przyklejony do nich, by dotrzeć do drzwi.

Nie. Nie stwierdził żadnego poruszenia. Straszliwy skwar, dwa trupy na łące, wielkie, brzęczące muchy i szybujący hen, daleko na niebie sęp, przerażony następującymi po sobie raz po raz detonacjami.

Wrócił do lukarny, zszedł na strych, gdzie o mało nie poślizgnął się i nie upadł na schnące jabłka. Czekająca tam na niego wystraszona

Florence z tokarewem w dłoni. Manlay pokazał  
jej, jak się nim

posługiwać i rzekł, by podczas jego wyprawy na dach strzelała do wszystkiego, co się rusza.

- No i co? - spytała z lękiem.

- Nic.

- Szkoda, że nie mamy telefonu. Spojrzał na nią zdumiony.

- Dlaczego?

- Żeby zawiadomić policję.

Wówczas uświadomił sobie, że zwrócenie się do policji było całkiem naturalną reakcją ze strony Florence, choć słyszał przecież, jak podczas ich krótkich rozmów wypowiadała się z niechęcią na temat glin. Było to jak najbardziej zgodne z tradycją formacji politycznej, do której należała stosownie do swego powołania liberalnego wychowawcy. Jego punkt widzenia był oczywiście inny, nie miał nic przeciwko glinom jako takim, ale bał się ich, bo wiedział, że jeśli się do niego przyczepią, trafi za kratki. Podjął to ryzyko wracając potajemnie do Francji i osiedlając się w tym odludnym miejscu, gdzie normalnie powinien być całkiem bezpieczny. Ale oto przyszli tu ci nieznani ludzie i zburzyli spokój jego samotni.

Zmrużyła oczy.

- Nie wyglądasz na zachwyconego - zauważyła kwaśno.

- Zachwyconego? Czym?

- Myślę, że może się tu zjawić policja.

- Co się stało z twoimi niezłomnymi zapatrywaniami na faszystowską policję? - szydził.  
- Z twoimi ulubionymi tematami w rodzaju C.R.S. to SS, i tak dalej?

Nagle na jej twarzy pojawiło się przygnębienie. Wyglądała jak zagubione dziecko przerażone myślą, że niesie brzemień zbyt ciężkie na swe słabe barki.

- Takie tam sobie bajanie - wyznała żałośnie. W rzeczywistości byłabym uszczęśliwiona, gdyby przy był tu pluton uzbrojonych po zęby gliniarzy.

Wróciło jej poczucie humoru.

- Szczerze mówiąc zamiast krzycheć C. R. S. to SS, mam raczej ochotę wołać: C.R.S. - S.O.S.!

Pocałował ją czule.

Na razie ja jestem twoim C.R.S. - szepnął jej do ucha. I wierz mi, dopóki tu jestem, aby nad tobą czuwać, nie spotka cię nic złego!

- To w niczym nie rozwiązuje naszego problemu. Odprężyła się na moment, całym ciałem ufnie

przywarła do Manlaya, ale potem znów ogarnął ją strach.

- Spróbuję wyjść na zewnątrz - zdecydował.

Smantow z przerażeniem wpatrywał się w roztrzaskane czoło Skina. Seria trzech kul odcięła wierzchołek czaszki jak jajko na twardo. Nieprawdopodobne. Ten Manlay to prawdziwy diabeł. Strzelać na chybił trafił i zabić człowieka! To wyczyn przekraczający ludzkie pojęcie. Smantow nie mógł dojść do siebie. Cała sprawa przybrała katastrofalny obrót i do jego duszy z wolna, zdradziecko zaczynał się wślizgiwać obezwładniający strach. Nie był to strach fizyczny, na przykład lęk przed śmiercią. Nie. Był ponad tymi niskimi, przyziemnymi sprawami. Tym,

co teraz czuł, była obawa przed klęską oraz kompleks niższości wobec człowieka, któremu, jak się zdaje,” wszystko się udawało. Smantow, który pasjonował się tenisem i gorzko żałował, że Rosjanie nie liczą się w tej konkurencji, nie mógł nie porównać siebie do czempionów takich jak Gerulajtis i Mc Enroe. Gerulajtis rozegrał wiele spotkań z Borgiem, ale nigdy nie udało mu się go pokonać; z kolei Mc Enroe nie zwyciężył nigdy Ivana Lendla, Czecha, który, co było pocieszające, przynosił zaszczyt tenisowi w krajach Europy Wschodniej.

Smantow, nie mógł w tej chwili pozbyć się paraliżującego lęku przed przyznaniem się do bezsilności; niemiłego wrażenia, że jest Dawidem u stóp<sup>1</sup> Goliata, jabłkiem na głowie syna Wilhelma Telia lub Joanną d’Arc przywiązaną do stosu.

Otrząsnął się. Trzeba przegnać te demobilizujące myśli i wziąć się do roboty. W przeciwnym razie po powrocie do Paryża czeka go surowa kara, wróci do Moskwy pierwszym rejsiem Aeroftotu, a kto wie,; dokąd go wyślą stamtąd?

Wziął tokarewa, który wypadł z ręki Skina, włożył go do torby plażowej i zarzucił ją na ramię. W swoim arsenale miał trzy pistolety automatyczne. Przeczłgał się do strumyka i zanurzył w wodzie: jej miły chłód przywrócił mu siły, natchnął nowym optymizmem i zapalem. Zabawne - filozofował w duszy - jak wielki wpływ na wydarzenia mają takie drobiazgi.

Zgięty w pół postępował powoli naprzód. Wkrótce dotarł do miejsca położonego na wprost osłoniętego wiatą pomieszczenia, które służyło za garaż dwóm

samochodom: *renault 5* i *blaszance*. Wyszedł ze strumienia, położył się na trawie i przeczołgał się pod pień wierzby w nadziei, że będzie go osłaniał przed ripostą Manlaya. Torbę postawił przed sobą, a prawą rękę, w której trzymał tokarewa, wsunął między torbę a korzenie drzewa. Celował starannie biorąc na muszkę bak *blaszankL*. Za czwartym razem trafił. Bak eksplodował, płonąca benzyna zalała trafiony samochód oraz zaparkowany obok *renault 5*. Pod wiatę wzbiły się dwa słupy czarnego dymu.

Smantow wziął drugiego tokarewa, tego, którego wyjął z ręki Streladze, i cierpliwie czekał. Zdawał sobie sprawę, że wywołując pożar podejmuje wielkie ryzyko, gdyż może w nim spłonąć fotografia, jeśli nie wiedząc o jej przeogromnym znaczeniu zmuszony do ucieczki Manlay, zostawi ją w domu, a Smantowowi nie starczy czasu, by przeszukać owczarnię i odnaleźć zdjęcie, które ma dostarczyć do ambasady w Paryżu.

Jeżeli zdobędzie fotografię, jeżeli położy na biurku rezydenta KGB ten cholerny kawałek glansowanego papieru, będzie uratowany, śmierć Streladze, Walcowa i Skina zostanie mu wybaczone. Płomienie sięgały coraz wyżej. Wkrótce dotrą do wiaty, a ta, co jest więcej niż prawdopodobne, nie będzie się im długo opierać. Smantow cieszył się, że dzięki podpaleniu samochodów osiągnął przynajmniej jedno: nawet gdyby Manlayowi udało się uciec, nie uzyska nad nim zbyt dużej przewagi. Gdyby doszło do pościgu na piechotę, miałby wszelkie szanse powodzenia, a pościg taki musiałby podjąć, gdyby się okazało, że w domu nie udało mu się znaleźć fotografii. Przez

chwilę bawił się obliczaniem, ile byłaby za nią gotowa zapłacić CIA. Rzeczywiście, Amerykanie to wariaci. Pieniądze parzą im ręce. Milion dolarów? Więcej? Co począłby Manlay z milionem dolarów? Prawdopodobnie wiódłby beztrudne życie na jakiejś cudownej wyspie w towarzystwie wielu pięknych dziewcząt albo tylko tej, która siedzi z nim w starej owczarni.

A co on, Smantow, zrobiłby z milionem dolarów? Ze wszystkich sił odpychał od siebie tę świętokradczą myśl niegodną oficera jego rangi, powracała jednak niczym jakiś leitmotiv czy refren, aby dręczyć go, męczyć, zatruwać umysł, doprowadzać do rozpacz.

Nagle zobaczył Manlaya. Rozpogodził się i podniósł swego tokarewa.



## Rozdział 6

Helikopter. O mało nie dał się zaskoczyć w momencie, gdy zamierzał właśnie przejść na drugą stronę drogi. Skulony w rowie czekał na dogodny moment, obserwując nadjeżdżające samochody. Nieliczne, trzeba przyznać, ale jednak pojawiające się częściej niż w okresie poza wakacyjnym. Kryzys ekonomiczny, który Francji dał się poważnie we znaki, sprawił, że zamiast w słońcu Andaluzji czy w weneckich pałacach Francuzi spędzali urlopy we własnym kraju, a wielu ich wybrało się do znanej z dzikich krajobrazów Ardeche.

Zobaczył helikopter w ostatnim momencie, bo jego hałas pomylił z warkotem ciężarówki biorącej zakręt w dole drogi. Przewrócił się na plecy, odepchnął na bok winchestera i wyrzwał przez listowie. Nie ulega wątpliwości, są na jego tropie. Długi, oliwkowozielony kadłub ze znakami żandarmerii narodowej poruszał się wahadłowo, w pozycji równoległej do wstęgi asfaltu. Tkwił zawieszony tam, w górze, a łopatki wirnika ubijały niczym masło gorące, nieruchome powietrze.

Zaniepokoił się. Dlaczego maszyna się nie oddała? Czy żandarmi zauważyli go? Pot spływający po karku niemile go łaskotał. Dla dodania sobie otuchy pogłaskał kolbę winchestera. A kiedy to robił aż go korciło, by podnieść broń, wycelować w wielkiego, metalowego konika polnego i opróżnić piętnasto-kulowy magazynek. Ale minę zrobiliby żandarmi! Nienawidził ich. To oni zatrzymali go pierwszy raz i doprowadzili do szpitala psychiatrycznego. Bez powodu oczywiście. Nawet go trochę poturbowali, bo stawiał opór i usiłował się bronić, wyzywając ich przy tym od najgorszych. Wyszczerbiony, prawy dolny kieł do tej pory świadczył o brutalności, z jaką się z nim obeszli. Wzięłby piękny rewanż, gdyby mu się udało wysadzić w powietrze tych łajdaków razem! z ich cholerną maszyną.

Zza zakrętu wyjechał *fiat ritmo* i zaczął trąbić Christian Lafaure podskoczył. Dlaczego samochód zatrąbił? Czy kierowca dostrzegł go skulonego w rowie i dawał znak żandarmom? Wiadomo przecież, że nie może na nikogo liczyć. Cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Wszystkie siły Zła. A on jest Sprawiedliwym prześladowanym przez Faryzeuszy, Żydem wiecznym tułaczem, Chrystusem, który wrócił na ziemię sam jeden, nawet bez apostołów. Czuł coraz większe podniecenie, a wewnętrzny ogień tłący się w nim niczym pod popiołem, stawał się; coraz większy i zaczynał go ogarniać płomieniem.

*Fiat ritmo* zniknął. Ostatecznie, pomyślał, może niepotrzebnie się zaniepokoił? Może kierowca podobnie jak on nienawidzi żandarmów i to trąbienie było z jego strony jedynie czymś w rodzaju ironicznego pozdrowienia lub pokazaniem

zgiętego ramienia, które miało znaczyć „mam cię gdzieś” albo „pocałuj mnie w dupę”, tym bardziej że gliniarze przecież nie wylądują, by wrzepić mandat buntowniczemu automobiliście.

Rozchmurzył się. Kolba winchestera była wilgotna od potu jego dłoni. Przez liście zobaczył, że helikopter daje nura w bok, niczym gracz w rugby szykujący się do przewrócenia przeciwnika, a potem wzbija się w przestworza i odlatuje.

Odetchnął z ulgą. Boże święty, za wszelką cenę musi przedrzeć się na tamtą stronę drogi.

Manlay usłyszał gwizd kuli i poturlał się po kamienistej ziemi. Powietrze było przegrzane, piekące. Dwa samochody paliły się w najlepsze w kłębach gęstego, czarnego dymu. U góry płomienie atakowały już drewnianą wiatę, która też wkrótce się zajmie.

Rzucił się do małych drzwi, którymi można było przejść ze starej owczarni do szopy służącej za garaż jego własnemu *renault 5* i *blaszance* Florence. Zniszczenie obydwu wozów pozbawiło ich najlepszego sposobu ucieczki, a co gorsza od samochodów zapali się na pewno główny budynek i trzeba będzie go opuścić.

Na wprost niego czał się strzelec wyborowy. Strzelec czy strzelcy?

Ogarnęła go wściekłość. Przecież nie da się złapać równie głupio. Co pomyśleliby sobie jego przyjaciele z Brygady Antymafijnej, gdyby teraz zobaczyli, jak obrywa bez żadnej reakcji ze swej strony? Musi przywołać wszystkie swe talenty i odwagę. Zastanówmy się: jego pierwszą myślą, którą podzielił się z Florence, było zrobienie wypadu na zewnątrz, w najczystszy, komandoskim stylu. A więc trzeba **to** jak

najszybciej wykonać. Zapomnieć, że ktoś **do** niego strzela, podnieść się i biegnąc zakosami, rzucić się na nieprzyjaciela, trzymać winchestera przy biodrze i siec z niego krótkimi seriami. Wiedział, że jeden strzelec (może byli jeszcze inni?) ukrył się za pnem wierzby. Musi go zaatakować, zasypać graj dem kul i zbliżyć się na odległość dostateczną, by go obezwładnić. Bez żadnych względów. Rozwalić mu czaszkę. Zaatakować jak za dawnych, dobrych czasów wojny algierskiej, kiedy dowodził oddziałem spadochroniarzy. Ale najpierw trzeba zafundować przeciwnikowi ostrzał zwany „psychologicznym”. Wywalić cały magazynek w dolną część pnia wierzby, mając zresztą nadzieję, że któryś z pocisków trafi w cel. Potem błyskawicznie zmienić magazynek pędząc zygzakami gęsto ostrzelać pozycję wroga. Za plecami usłyszał niespokojny głos Florence która krzyczała:

- Jacques, wracaj!

Mowy nie ma. Najlepszym sposobem obrony jest atak. Biada facetowi, który do niego strzelał. Manlay miał już dosyć służenia za tarczę strzelniczą, dostawania kopniaków w tyłek...

- Cholera! A to znowu co? - mruknął pod nosem. Osłupiały patrzył na nadlatujący helikopter. Przez chwilę zastanawiał się czy. myśl, która niedawno przemknęła mu przez głowę, nie staje się ciałem.

Może to znowu Algieria sprzed dwudziestu lat?

Może uczestniczy w operacji helikopterowej przeciw partyzantom? Przez parę chwil śnił na jawie. Może to *Puma* przybywa z posiłkami, a może wręcz przeciwnie - przywozi chłopaków, którzy złuzują jego pluton?

Maszyna ustawiła się pod kątem, z dziobem

skierowanym ku ziemi. Manlay mógł sobie czytać do woli. Napis brzmiał: *Żandarmeria Narodowa* O mało nie zwymiotował. Kleszcze zaciskały się. Szybko zawrócił do owczarni.

- G. I. G. N./3 do bazy.

- Tu baza, słucham cię.

- Przelatujemy nad pozycją 61. Samotnie stojący budynek podobny do starej fermy. Palą się dwa samochody i wiata nad garażem przylegającym do fermy. Poza tym dwa ludzkie ciała leżą w pełnym słońcu, nieruchomo, z twarzą zwróconą ku ziemi.

W bazie podpułkownik Gardinot szybko chwycił mikrofon z rąk podoficera.

- Halo, G.I.G.N./3! Sądzicie, że nie żyją?

- Raczej tak. Leżą w dziwnej pozycji.

- Wylądуйте i sprawdźcie. Jeśli widzicie dwa płonące samochody, to w fermie musi ktoś mieszkać. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten szaleniec Christian Lafaure tamtędy przeszedł, zmasakrował mieszkańców, a potem umyślnie podpalił samochody. Reasumując: rozkazuję wylądować, przyjrzeć się ciałom, ugasić pożar i raportować. Czekam.

-G.I.G.N./3 do bazy. Zrozumieliśmy.  
Wykonujemy rozkaz. Koniec rozmowy.

Gardinot oddał mikrofon podoficerowi i odwrócił się do majora Frapier, który rozmawiał przez telefon; Stał przed nim, wziął metalową linijkę i niecierpliwie uderzał nią o biurko. Frapier posłał mu uspokajające spojrzenie. Wkrótce potem skończył rozmowę.

- Załatwione. Wszystkie radiostacje podadzą krótkie wiadomości, w których przekażą rysopis Lafaure'a i ostrzegą miejscową ludność i turystów! przed niebezpieczeństwem, jakie grozi z jego strony, kiedy przebywa na wolności.

- W specjalnym wydaniu wiadomości?

- Oczywiście, panie pułkowniku. Poza tym zgodnie z pańską sugestią zwrócą się z apelem o przekazywanie nam wszystkich informacji, jakie mogą być pomocne w schwytaniu mordercy.

- Miejmy nadzieję, że zdążymy na czas i zdołamy zapobiec kolejnym zbrodniom.

Podpułkownik żandarmerii zastanowił się nad<sup>1</sup> prześladowającym go pechem, który niezmiennie dawał o sobie znać przy kolejnych przydziałach pracy, zawsze bowiem kierowano go do specjalnie trudnych regionów. Przed dwoma miesiącami przeniesiono go z Korsyki do Ardeche. Obydwa departamenty miały podobną rzeźbę terenu i niską gęstość zaludnienia, były surowe, jałowe, pokryte niedostępnymi zaroślami. Tyle że w Ardeche przynajmniej jeszcze nikomu nie wpadło do głowy, by walczyć autonomię za pomocą terroru.

Smantow był osłupiały, skonsternowany, zdruzgotany. Czyżby ludzie Zachodu mieli rację? Czyżby istniał jakiś bóg i był to bóg kapitalistyczny i imperialistyczny?

Cofnął się do strumienia w nadziei, że nie dojrzą go żandarmi wyglądający z helikoptera. Niewątpliwie ich uwaga była skierowana na trupy Streladze i Walcowa oraz na płomienie i kłęby czarnego dymu. Co za niesamowity zbieg okoliczności. I jakie nieprawdopodobne szczęście ma ten Manlay! Chociaż niekoniecznie! Przecież ciąży na nim zaoczny wyrok śmierci, więc musi bać się policji. Jego kompani odbyli już orzeczone zaocznie kary lub zostali ułaskawieni. On nie. W 1981 roku zniesiono we Francji karę śmierci, a w dziedzinie interesującej Manlaya nowy prezydent Republiki podjął nawet pewne środki zmierzające do zagojenia ran przeszłości, ale byli przecież jeszcze dwaj żandarmi z lotnego patrolu, których Manlay zabił podczas ucieczki przez hiszpańską granicę, kiedy usiłowano go zatrzymać. Za ten czyn, popełniony przed dwudziestu laty, nie było przebaczenia. Jeśli istnieją na ziemi ludzie, którzy nie mają krótkiej pamięci, to są nimi właśnie policjanci.

Wniosek: Manlay podejmie próbę ucieczki. Czy zabierze ze sobą archiwum oraz słynną fotografię? Jeśli nie, wszystko przepadło, bo obecność żandarmów i pożar trawiący dwa samochody uniemożliwią mu przystąpienie do zaplanowanych poszukiwań.

Pozostawała mu tylko jedna nadzieja: Manlay uciekając weźmie ze sobą archiwum i fotografię.

Którędy pobiegnie? Nie było to trudne do przewidzenia: wyskoczy przez okno z tyłu starej owczarni, potem będzie mógł dotrzeć do drugiej części lasu i przepaść w okolicznych chaszczach.

Zgięty we dwoje, z torbą przewieszoną przez ramię, szedł wodą strumienia i niespokojnie oglądaj się za siebie w kierunku zielonooliwkowego kadłuba, który widział czasami poprzez liście. Helikopter szykował się do lądowania na spalonej słońcem łące, tuż obok zwłok Streladze i Walcowa. Łopatki wirnika miesiły nieruchome, gorące powietrze. Ich powiew docierał aż do lasu, drżały od niego liście i leciutko! marszczyła się powierzchnia strumienia.

Nie wolno mu zgubić tropu. Musi schwytać Manlaya i wydostać od niego fotografię, na której Jean Francois Dagueyre rozpoznał Viellebois de Natachat, o ile w ogóle, trzeba to podkreślić jeszcze raz Manlay rzeczywiście jest w posiadaniu tego skarbu.; To jego ostatnia szansa.

Nie wolno mu dać się zgarnąć żandarmom, zwłaszcza że ma przy sobie przedmioty tak obciążające jak trzy tokarewy, z których obecności trudno byłoby mu się wytłumaczyć.

- Żandarmi! - zawołała uszczęśliwiona Florence. - Gdybym wierzyła w Boga, powiedziałabym, że moje modły zostały wysłuchane!



Manlay wyrwał jej tokarewa, którego wciąż trzymała w dłoni i zatknął go za pasek swoich szortów.

- Zgoda! Twoje modły zostały wysłuchane! Przybyli żandarmi! Idź, padnij przed nimi plackiem, ja spieprzam!

Pchnął ją, by zeszła mu z drogi. Zdumiona stała w miejscu z otwartymi ustami.

- Nie rozumiem - wyznała. - Dzięki nim skończą się nasze kłopoty, jesteśmy wolni, nie umrzemy uduszeni, zaczadzeni, spaleni jak Joanna na stosie!

- Tak, to proste - szydził - gnaj do nich i poproś o stwierdzenie szkody, jaką poniosłaś przez spalenie swej *blaszanki* Ubezpieczenie wypłaci ci pieniądze. A w międzyczasie połóż bukiet kwiatów przy trupach.

Na szczęście przewidział podobną ewentualność. Jego plecak czekał spokojnie w sypialni. Co w nim było? Trochę jedzenia, konserwy, otwieracz do puszek, dwie butelki wody mineralnej, papierosy, zapalki, maszynka spirytusowa z paliwem, colt 45, amunicja, radio tranzystorowe, jakieś ubranie na zmianę, opatrunki i leki pierwszej potrzeby, fałszywe paszporty i zagraniczna waluta, nóż zwany „transzejowym”, parę listów i dokumentów, na których mu zależało.

Wbiegł do sypialni, położył winchestera na łóżku, chwycił plecak stojący koło starej, wiejskiej komody i zarzucił go na ramiona. Florence stała w drzwiach i obserwowała go z oczami pełnymi łez.

- Opuuszczasz mnie?

Głos jej się łamał. Miotany sprzecznymi uczuciami rozmyślnie stał odwrócony do niej

ryłem. Zależało

mu na tej kobiecie. Czuł to sercem i wszystkimi bebeczami. Ale czy ma prawo wciągać ją w jakąś zwariowaną awanturę? Ją, profesora filozofii, tak mocno osadzoną w laickim konformizmie, w systemie, któremu odmawiała wprawdzie wartości, lecz dla którego żywiła nieświadomiony kult? Poza tym musiał troszczyć się o własne bezpieczeństwo. Zwłaszcza żandarmi na pewno mu nie popuszczą. B koniec końców - jeden straszny błąd popełnił zaszywając się w ten zapadły kąt w Ardeche, gdzie spodziewał się znaleźć spokój a drugi, kiedy zgodził się udzielić wywiadu Dagueyrewi, jeśli to on go wydał!

- Czy masz powody, aby bać się żandarmów? Zapinał karabińczyki, wzruszony zatroskanym tonem Florence.

- Muszę się bać wszystkiego - odparł zabierając, winchestera. - Ale nie chcę cię wplątywać w swoje sprawy.

Z dworu dochodziły jakieś nawoływania. Żandarmi wkrótce tu będą. Skoczył do okna, otworzył je, pchnął okiennice. Odwrócił się. Mocne poczuł cie winy ścisnęło mu żołądek. Patrzyli na siebie przez parę sekund: Manlayowi zdawały się one wiecznością, serce biło mu szybciej, bo miał wrażenie, że już słyszy kroki wbiegających do przedsiionka żandarmów. Potem Florence gwałtownie rzuciła się ku niemu i nie znoszącym sprzeciwu tonem oznajmiła:

- Idę z tobą. Nie kłóć się. Raczej pomóż mi przedostać się przez parapet.

Energicznie potrząsnął głową.

-Nie - odmówił. - Zostań tutaj. Powiedz im, że nic o mnie nie wiesz, że dopiero się poznaliśmy, podaj mi tylko, gdzie potem mogę do ciebie zatelefonować i powiedzieć, co się ze mną dzieje.

Odepchnęła go, przyparła do ściany i niezręcznie przełożyła nogę przez parapet. Starła się ją zatrzymać, ale wyszarpnęła się i odsunęła go. O mało nie upuścił winchestera, kiedy chwycił ją w pól i siłą chciał wciągnąć do środka. Właśnie wtedy usłyszał coraz bliższe głosy od strony przedsiionka. Było za późno. Żandarmi już tu są. Nie wolno jej narażać. W głębi duszy musiał przyznać, że jest zadowolony z decyzji Florence. W każdym razie nie było już czasu na przekomarzania. Puścił jej rękę i on z kolei przeskoczył przez parapet. Wylądował obok Florence.

- Szybciej! - poganiał.

Palcem pokazał jej las. Chciała wziąć go za rękę, ale wyrwał ją, bo musiał mieć swobodę manewru. Kto mu zagwarantuje, że będzie tu bezpiecznie? A jeśli uciekając przed żandarmami wpadną z deszczu pod rynnę? Może czają się tam wspólnicy człowieka lub ludzi, którzy na niego dybią? Jeśli to Włosi z *Prima Linea*, nie odstraszy ich widok mundurów. Dla nich zabijanie karabinierów to nie pierwszozna. Zatem winchester powinien być gotowy do strzału, a on musi mieć obie ręce wolne.

- Biegnijmy zakosami - rozkazał na wszelki wypadek wiedząc, że tu także naraża życie Florence na niebezpieczeństwo, gdyż było wielce prawdopodobne, że jeśli zacznie się strzelanina,

podzieli jego los.

Znów poczuł wyrzuty sumienia, że pozwolił jej sobie towarzyszyć. Z drugiej strony, pocieszał się, czy poradziłaby sobie z żandarmami? Nie da się ukryć, że w przyszłości czekają ją kłopoty, ma to jak w banku. Dojdą do niej, chyba że będzie miała szczęście i ogień, który strawił jej samochód, zniszczył numery rejestracyjne i numer silnika, uniemożliwiając ich odczytanie.

Las. Przesadził murek niczym biegacz na sto metrów przez płotki, rzucił karabin na mech okalający pień osiki jak atol lagunę, pomógł przedostać się przez niego Florence, chwycił znów winchestera i pociągnął ją za sobą. Pochłonęły ich leśne ostępy, Biegli dalej wzdłuż ocienionej dróżki wijącej się pod niskimi gałęziami i zwolnili dopiero wtedy, gdy zaspana Florence chwyciła Manlaya za ramię.

- Jacques - błagała - miej litość! Jestem profesorem filozofii, nie gimnastyki!

- Mimo wszystko nie zwalniamy tempa - zaoponował. - Żandarmi to sportowcy. Poza tym mają helikopter.

- Zatrzyma ich pożar i dwa trupy - zauważyła. - Czy jesteś właścicielem tej owczarni?

- Dzierżawię ją. Maszerowali szybko, w milczeniu.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Do pewnego pasterza. Żeby się zastanowić.

- Zastanowić? Nad czym?

- Nad sytuacją. Twoją i moją.

- I może żeby wytłumaczyć mi, z jakiego

powodu boisz się żandarmów?

- Możesz na to nie liczyć. Jeśli chcesz ze mną zostać, przyjmij mnie takiego, jakim jestem. To co należy do przeszłości, należy tylko do niej.

- Do przeszłości podejrzaney, jak mi się zdaje. Dwuznacznej. Czyżbyś był przestępcą?

- Dla niektórych ludzi tak.

- Poszukiwanym przez policję? Puścił trochę farby:

- Od dwudziestu lat.

Znowu wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Chodź. Może żandarmi idą naszym tropem.

- Ukrywałeś się we Włoszech? - naciskała.

- We Włoszech i gdzie indziej.

- Dlaczego wróciłeś do Francji?

- Tęskniłem.

- Co takiego zrobiłeś, że szuka cię policja?

- Spełniałem swój obowiązek. Znowu zatrzymała się.

- Obowiązek? Pociągnął ją za sobą.

- Nie baw się w pociąg osobowy. Jedziemy ekspresem.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie

- Męczy mnie mówienie. Ja też nie jestem instruktorem gimnastyki. Wyszedłem z formy.

- Kiedy się na ciebie patrzy, nikt by tego nie powiedział. Ma się raczej wrażenie, że co roku wygrywasz bieg *Le Figaro*.

Blefował. W rzeczywistości był w świetnej formie, całkowicie kontrolował swe możliwości fizyczne; chód miał giętki, oddech regularny, mięśnie harmonijnie rozwinięte. Szkoda tylko, że



atmosfera w tym

gęstym lesie była ciężka i duszna a powietrze tak rozrzedzone. Był to jednak las opiekuńczy, życzliwy, przyjazny, co powinno go cieszyć. Nadstawiał uszu czy w górze nie usłyszy podejrzanego warkotu. Znaczyłoby to, że żandarmi szukają ich z helikoptera, bo zauważyli ich ucieczkę. Nie wiedział, czy rzeczywiście tak było, gdyż mogli na przykład dojść do wniosku, że dwa trupy są zwłokami mieszkańców starej owczarni. Dokładniejsze śledztwo wykaże, że tak nie jest, ale wtedy będzie za późno. On i Florence będą daleko.

Oczywiście były pistolety z tłumikami. Pewno zostały przy zwłokach, chyba że mężczyzna, który usiłował dostać się do domu i podczas tej operacji stracił swego tokarewa, miał czas, aby zabrać je uciekając. Jeżeli tego nie zrobił, znajdą je żandarmi. A jeśli się okaże, że pistolety są tej samej marki co ten, który przechwycił, zaczną poważnie coś podejrzewać. Niewielu ludzi we Francji przechadza się z tokarewem w kieszeni. Ciekawe też, czy przy zabitych są jakieś dowody tożsamości? Gdyby chodziło o Włochów z *Prima Linea*, najprawdopodobniej byłyby fałszywe.

- Czy twój pasterz mieszka daleko stąd?
- O dwie godziny drogi.
- Dwie godziny? - zaprotestowała.
- Uważasz, że to daleko?
- Samochód odzwyczaił mieszkańców

miast od wysiłku fizycznego.

- Na razie nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek. Musimy iść dalej.

- Masz do niego zaufanie?

-W naszym konsumpcyjnym społeczeństwie pasterze pozostali anarchistami, a anarchiści nie sprzedają nikogo policji.

Zapytała:

- Jesteś anarchistą?

- Ja nie. Pasterz, o którym mówię. Właśnie od niego kupiłem wino, które piłaś przez cały ubiegły tydzień.

- Pasterz sprzedający wino, to dość oryginalne. Z czego je robi? Z owczego mleka?

- Protestuję - zgodził się kupić je dla mnie. Wie, kto w okolicy ma dobre wino.

- Rzeczywiście nie był to byle sikacz.

- Jestem pewien, że u niego znajdziemy antałek tego samego wina. Napijemy się go po przejściu ostatniego etapu. No chodź, weź się w garść.

- Jest straszliwie gorąco, napiłabym się czegoś. Na myśl o twoim antałku ślinka cieknie mi do ust. Kolejny paradoks - wino, przez które ślinka cieknie do ust. Zresztą...

- Tak?

- Czy jesteś pewien, że nie znajdą nas u tego twojego pasterza? Pomyślałeś o helikopterze?

- Mój pasterz mieszka w grocie.

Przeszli na drugi brzeg leniwie płynącego strumyka. Florence skorzystała z tego, by ochlapać się wodą.

- Przy takim upale szybko wyschnę – powiedziała tytułem wytłumaczenia.

Dalej rozpościerała się rozległa, naga przestrzeń usiana skałami. Manlay bacznie rozejrzył się dokoła. Na prawo zobaczył pomarańczowy namiot rozbity

przez jakichś turystów. Wypadło z niego dwoje dzieci i pobiegło w kierunku skałek. Z namiotu wyszła jasnowłosa kobieta ubrana w szorty i stanik równie pomarańczowe jak namiot i zawołała:

- Chris! Belle! Wracajcie mi zaraz!

Manlay zadrżał. Belle. Zdrobnienie od Isabelle. Z jego pamięci boleśnie wypłynął czterowiersz ułożony przez Silvaina.

*Przypomnij sobie Pewnego dnia; Było nas troje, Ty, Belle i ja...*

Sylvain śpiewał to nawet akompaniując sobie na gitarze. *Ty, Belle i ja...* Szczęśliwe wakacje na Kor-j sycę... Ognisko... Gitara... Sylvain był do szaleństwa zakochany w Belle. Manlay także, ale z przyjaźni dla Silvaina ukrywał swe uczucia. Belle rozchorowała się po zjedzeniu *jigatellt* Obydwaj ją pielęgowali,, Wykorzystywała to i wymagała, by obsługiwali ją niczym niewolnicy Kleopatrze, udawała, że się gorzej czuje... Ostatniego dnia wakacji spili się wszyscy troje w trupa mocnym i cierpkim, różowym, korsykańskim winem produkowanym przez jakiegoś Francuza urodzonego w Algierii, który przeniósł się do kraju. Potem wszyscy troje wrócili do pracy w? zbrojnym podziemiu. W Algierze szerzyła się przemoc. Zaatakowali kryjówkę gaullistowskich tajnych agentów w El-Biar. Sylvain i Belle przypłacili ta życiem...

*Przypomnij sobie Pewnego dnia; Było nas troje, Ty, BeUe i ja...*

- O czym myślisz? - spytała Florence. - Chcesz ominąć ten namiot? Dzieciaki są wprawdzie czarujące, ale i one, i matka zapamiętają nas, przede wszystkim z powodu karabinu, który ci dynda na ramieniu. Sezon polowań jeszcze się nie zaczął, a wcale nie wyglądamy na kłusowników. Co prawda tak strasznie zaschło mi w gardle, że chętnie poszłabym do nich poprosić o coś do picia.

- Dlaczego nie napiłaś się wody ze strumienia?

- Jako działaczka ruchu ekologicznego wiem, że wszystkie wody we Francji są zanieczyszczone.

- Obejdziemy dokoła tę pustą połąć. Nie ma sensu ryzykować.

Jakże to już dawno, Belle i Sylvain. Głupio, że dał sobą zawładnąć zamierzczłym wspomnieniom. *Tm gettng sentimental over you* - jak mówi jeden z amerykańskich szlagierów. To nie moment na nostalgiczne powroty w przeszłość.

Szybko zawrócili, bo dzieciaki, za którymi biegła matka, wzięły kierunek prosto na nich. Znowu przeszli na drugi brzeg strumienia, a przy okazji podobnie jak poprzednio, Florence połała się wodą i ostrożnie, z lękiem w oczach, wypła parę łyków. Manlay poganiał ją:

- Nie guzdrz się.

Zboczyli z drogi, jaką poprzednie szli i po pewnym czasie znaleźli się na skraju tego samego pustynne-

go terenu, przez który musieli przejść, ale od strony przeciwległej niż pomarańczowy namiot i poza jego zasięgiem widzenia. Byli już na skraju lasu, gdy nagle z gęstwiny wyszedł lis. Przerażona Florence odskoczyła do tyłu. Manlay stanął jak wryty. Zwierzę zachowywało się dziwacznie. Zwykle lis unika człowieka; tymczasem ten, przeciwnie, zbliżał się do nich bez lęku czy choćby niepokoju. Jego rudą sierść była wytarta, jakby sparszywiała, spojrzenie miał otepiałe i nieruchome, łapy mu drżały. W uchylonym spiczastym pyszczku można było dostrzec kły pokryte żółtawą pianą. Puszysty ogon zamiatał rzadką trawę i kamienistą ziemię. Pochylona głowa lisa zwróciła się w kierunku gołych nóg Florence, a z gardła wydarł mu się żaloszny skowyt. Manlay natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Obserwował już te same objawy, zetknął się z nimi w górach Algierii. Zwierzę było wściekłe. Przeciągły skowyt był zapowiedzią ataku. Jeden ze spadochroniarzy z jego plutonu o mało nie przejechał się przez to na tamten świat. Manlay zrzucił winchestera z pleców w chwili, gdy zwierzę miało skoczyć na Florence. Karabin zagrział dwa razy. Lis poszybował do tyłu z odstrzeloną głową i zapadł w chaszczę, z których się wyłonił.

Florence stała jak zamurowana, oddychała z trudem i wpatrywała się w głowę lisa leżącą u jej stóp.

- Nie waż się jej ruszać - wrzasnął Manlay.  
- To zwierzę jest wściekłe. Jeśli dotkniesz jego sierści, ty także się zarazisz.

W oczach Florence zamigotało przerażenie; cofnęła się raptownie.

-To prawda - przyznała - czytałam gdzieś, że wśród lisów we Francji panuje wścieklizna, ale sądziłam, że jest ograniczona do północnowschodniej części kraju.

Znów zarzucił karabin na ramię i chwycił Florence za rękę.

- Zmykajmy stąd. Nie zapominaj, że strzały musiały zaalarmować żandarmów, jeśli idą naszym tropem.

Podniósł głowę ku niebu i wypatrywał na nim helikoptera. Niczego nie dostrzegł. Żandarmi z pewnością są zajęci dwoma trupami i pożarem. Nie, chyba istotnie mogą się niczego z ich strony nie obawiać.

Młoda kobieta jeszcze drżała. Pocałowała Manlaya w policzek.

- Uratowałeś mi życie. Gdyby mnie ugryzł, gdzie znalazłabym w tym zapadłym kącie jakiś ośrodek, który zaszczepiłby mnie przeciwko wścieklicznie?

## Rozdział 7

G.I.G.N./3 do bazy.

- Tu baza do G.I.G.N./3, słucham cię.

Tym razem mikrofon wzięł sam podpułkownik Gardinot, w którego wpatrywali się z ciekawością major Frapier i podoficer żandarmerii.

- Raportujemy. Pożar został zlokalizowany. Jeśli chodzi o dom, są stosunkowo małe straty. Natomiast oba samochody, *renault 5* i *blaszanka*, spłonęły doszczętnie. Znaleźliśmy zwłoki dwu ludzi. Zginęli od kul. Obaj płci męskiej, rasy białej, typ europejski, wiek między trzydziestką a czterdziestką. Brak papierów tożsamości. Ubrani jak turyści. Przeszukaliśmy dom. Znaleźliśmy resztki przygotowanego posiłku. Pokrojone w plastry pomidory...

- Zostawcie w spokoju pomidory - przerwał sucho Gardinot. - Czy te zwłoki mogą należeć do mieszkańców domu? - Trudno to powiedzieć. Jednak dzięki znalezionym w tej starej fermie czy owczarni ubraniom, odkryliśmy ślady obecności kobiety. Tymczasem nie ma tu żadnych kobiecych zwłok. Och, panie pułkowniku, proszę chwilę zaczekać...

- Czekam...



Przez jakiś czas panowała cisza, potem znów ode zwał się głos dowódcy patrolu G.I.G.N.

- Znaleźliśmy damską torebkę. Są w niej papiery na nazwisko Florence Dumont, stanu wolnego, urodzonej 28 kwietnia 1955 w Melun, departament Seine-et-Marne, profesora filozofii w liceum Camil-le-See w Paryżu, zamieszkałej pod numerem 68 przy bulwarze Henri-Sellier w Suresne, departament Haut-de-Seine. Jest dowód osobisty, prawo jazdy i legitymacja ubezpieczeniowa. Poza tym dowód rejestracyjny *blaszanki*, może tej, która spłonęła. Nie sposób tego ustalić. Farba na tablicy z numerami rejestracyjnymi znikła, stopiona przez ogień.

- To wszystko? - spytał Gardinot.

- Jeszcze książeczka czekowa na to samo nazwisko. Poza tym trochę gotówki. Jakieś tysiąc franków. I różne szpargały bez znaczenia, jak zawsze w damskich torebkach.

- Dowódca patrolu chyba nie lubi kobiet - pomyślał bezwiednie pułkownik.

- Nic więcej? - upewnił się.

- Nie, panie pułkowniku.

- Zostańcie na miejscu. Kontynuujcie przeszukanie domu. Zawiadomię prokuratora i sędziego śledczego. Rozmowa skończona.

- G.I.G.N./3, koniec rozmowy.

Gardinot podał mikrofon podoficerowi nie pomyślawszy nawet, że mógłby go odłożyć sam i odwrócił się do Frapiera.

- Mamy nowe ofiary Christiana Lafaure. Prawdopodobnie ludzie spędzający wakacje w tej starej owczarni czy fermie. Może ta kobieta, profesor filozofii, wpadła mu w oko, więc postanowił pozbyć się mężczyzn. Zabił ich, a

kobietę z pewnością uprowadził ze sobą. Trzeba przyjąć, że pojawienie się helikoptera spłoszyło go akurat w chwili, gdy chciał ją zgwałcić. Wiemy, że ma karabin winchester kaliber 30. Niewątpliwie nim się posłużył, aby zabić dwu mężczyzn i sterroryzować kobietę. Jest zbrojcem, mamy na to dowody. Można przypuszczać, że ta biedna Florence Dumont okaże się jego następną ofiarą. Wyślemy jeszcze dwa helikoptery, G.I.G.N./1 i 2, żeby przeczesały teren. Lafaure nie mógł odejść daleko. Otoczymy również ten teren przy użyciu plutonów pieszych. Zobaczę, jak to wygląda na mapie. A tymczasem pan, Frapier, zawiadomi prokuratora i sędziego śledczego. Będziemy musieli udać się tam, gdzie G.I.G.N./3 znalazł te dwa ciała.

Podczas gdy major żandarmerii wykonywał polecenie, jego zwierzchnik podszedł do mapy ściennej, na której interesujący go region był podzielony na pola ponumerowane od 1 do 240 i nazywane „pozycjami”. Gardinot skoncentrował uwagę na pozycji numer 61, którą wymienił dowódca patrolu G.I.G.N./3. W głowie już mu się układał plan akcji. Miał okazję przeprowadzić podobną operację na Korsyce, kiedy grupa terrorystów zaatakowała przedsiębiorstwo należące do Francuzów z Algierii, którzy przed dwudziestu laty powrócili do kraju. Terrorysty wymordowali zatrudnionych tam marokańskich robotników i uciekli. Jego żandarmom udało się okrążyć grupę, która ostatecznie poddała się bez stawiania oporu; był to wielki sukces, aczkolwiek zupełnie nie brano go pod uwagę w jego dalszej karierze zawodowej. > Wreszcie Frapier skończył telefonować.

- Załatwione, panie pułkowniku.

Z zadumaną miną gładził podbródek.

- Jest jednak coś, co nie daje mi spokoju...

- A mianowicie?

- Jeśli w domu znaleziono dokumenty kobiety; dlaczego nie było tam papierów obydwu mężczyzn?^

*Monsieur Armstrong, Les nults sont longues Sans uotre trompette. D'Saint-Louis Blues Je suis jalouse, D'Hello, Dolly J'en reueau lit...*

Smantow nie miał pojęcia, jak się nazywa wykonawczyni piosenki, która płynęła z tranzystora leżącego na trawie koło pomarańczowego namiotu. Zresztą kichał na to. Swoje tokarewy ukrył w przerzuconej przez ramię torbie plażowej, którą przytrzymywał jedną ręką.

- Dzień dobry. Jak się pan nazywa?

Uśmiechnął się do jasnowłosej dziewczuszki.

- Gerard - skłamał. - A ty?

Panie Armstrong, noce są długie bez twojej trąbki jestem zazdrosna o Saint-Louls Blues, śnię po nocach o Hello, Dolly. (Swobodny przekład tłumaczki.).

- Belle.
- Śliczne imię.

Zobaczył młodą kobietę, prawdopodobnie matkę dziewczynki i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Szukam swoich przyjaciół, mężczyzny i kobiety - zmyślił na poczekaniu. - Pogubiliśmy się na tym pustkowiu.

Z namiotu wybiegł chłopczyk i stanął obok matki, utkwivszy w Smantowie spojrzenie pełne szalonej ciekawości.

- Nie widziała ich pani przypadkiem? - ciągnął. - Oczywiście wędrują pieszo. Dobrze zbudowany mężczyzna i brunetka. On ma na sobie amerykańską, drelichową kurtkę w kolorze oliwkowozielonym.

Kobieta przecząco potrząsnęła głową.

- Nie - odrzekła.
- Ty także ich nie widziałas, Belle?
- Nikogo nie widziałam. Westchnął.
- Trudno.

- Niech pan zapyta mego męża - podsunęła kobieta. - Siedzi z wędką w dole rzeki.

Machnęła ręką w prawą stronę.

- Zrobię, jak mi pani radzi - podziękował Smantow.

Pogłaskał po policzku Belle i zawrócił na pięcie. Właśnie wówczas gdzieś w oddali rozległy się dwie detonacje. Stał jak wryty, a potem poczuł, że dzieci potraciły go i popędziły tam, skąd padły strzały.

- Chris! Belle! Wracajcie! - krzyknęła zaniepokojona kobieta i rzuciła się w pogoń za dziećmi.

Smantow zrobił to samo uważając, by nie potknąć się o kamienie, których pełno leżało na ziemi.

Przed nim rozciągała się rozległa, wolna przestrzeń. Kobieta i dzieci szybko zasapały się. Smantow także. Ale Chris i Belle zyskali przewagę i arii matka, ani Smantow nie mogli ich dogonić. Nawoływania kobiety nie odnosiły żadnego skutku. Dyscyplina w krajach kapitalistycznych znika - orzekł z pogardą Smantow. A bez dyscypliny maleje poczucie obowiązku i solidarności. Bez poczucia obowiązku i solidarności słabnie patriotyzm, a kiedy nie ma patriotyzmu, ludzie nie chcą się bić. Przeciwno obojętne jakiemu wrogowi. Jeśli panuje tu takt stan ducha, przed Związkiem Sowieckim rysują się piękne perspektywy. Nie będzie nawet musiał rozgromić armii krajów Europy Zachodniej. Jego wojska zwyciężą bez walki. Podbić i zająć bez żadnych strat w ludziach i sprzęcie, czy to nie piękny wyczyn?

Słońce paliło jeszcze mocniej. Z żalem pomyślał o chłodnej wodzie strumienia, od którego nie oddalał się dotychczas.

- Chris! Belle! Wracajcie! - wołała niestrudzenie matka.

Czekaj tatka latka. Dzieciaki parły do przodu, od czasu do czasu odwracały się tylko, by sprawdzić, czy pogoń nie jest za blisko. Skakały pomiędzy skałkami śmiejąc się ze spletanego matce figla.

Smantow złapał drugi oddech. Znów zaczął biec i tym razem dogonił dzieciaki zostawiwszy w tyle za sobą ich matkę. Chris i Belle wpadli już na krętą dróżkę wijącą się wśród

drzew i kolczastych krzewów. Był tuż za nimi, matka została kilkadziesiąt kroków za nim.

Na jednym z zakrętów Belle wydała okrzyk zdumienia. Smantow podbiegł szybko i jednym rzutem oka objął scenę: pod krzakiem leżał martwy lis z odstrzeloną głową, zaś na środku drogi spoczywała poszarpana, zakrwawiona głowa. Dlaczego zabito lisa? - zastanawiał się. Postąpił do przodu i wówczas zobaczył pianę na zażółconych kłach. Już wiedział. Wychowywał się na wsi i zanim Komsomoł zwrócił na niego uwagę i posłał na studia, włóczył się za młodu po polach i lasach. W jego stronach zdarzały się przypadki wściekliczyny wśród wilków i lisów. Od czasu do czasu miejscowa organizacja partyjna organizowała polowanie z nagonką, by przetrzebić zarżone sztuki. Smantow, który chodził na nie z ojcem, nauczył się rozpoznawać objawy choroby u zabitych zwierząt.

- Co to jest? - spytała Belle zakrywając sobie rączką usta.

- Lis - pouczył ją Chris dumny ze swych wiadomości zoologicznych.

Belle zrobiła krok do przodu i uklękła przy bezgłowym ciele. Smantow odruchowo rzucił się ku dziewczynce i odepchnął ją od zwierzęcia. Kierowały nim wspomnienia z dawnych lat. Wiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno dotykać żywego czy martwego dzikiego zwierzęcia, niezależnie od tego czy podejrzewa się, że może być wściekłe, czy nie.

Belle rozplakała się, bo przewróciła się i stłukła sobie łokieć o kamień. Matka stanęła w obronie dziewczynki. Rzuciła się na Smantowa.

-Niech się pan odczepi od mojej córki.

Oddał dziewczynkę w ramiona matki, a potem pokazał jej palcem głowę i ciało lisa.

- Niech pani nie pozwolą córeczce dotykać tego. Prawdopodobnie zwierzę jest wściekłe. I pewno dla tego je zastrzelono.

Oddalił się dróżką prowadzącą w głąb lasu. Kto zabił lisa - zastanawiał się. Niewątpliwie Manlay. Sezon polowań jeszcze się nie zaczął, więc niewielu ludzi przechadza się ze strzelbą na ramieniu. Za tą hipotezą przemawiał jeszcze jeden argument: rodzaj detonacji. Były charakterystyczne dla winchestera, a właśnie taki karabin miał Manlay. Ze względów zawodowych Smantow od dawna nauczył się rozpoznawać najróżniejsze detonacje i kadencje strzału broni palnej.

Wpatrywał się w ziemię pod nogami w nadziei, że może znajdzie na niej jakieś świeże ślady kroków, ale nie robił sobie specjalnych złudzeń. Grunt był za suchy. Od wielu już dni nie spadła kropla deszczu. Na ziemi nie odcisnął się żaden ślad. Znów pomyślał o lisie i o dwóch wystrzałach. Zabrzmiały w bliskiej odległości jeden za drugim niczym salwa. Tak strzelać mógł tylko ktoś bardzo doświadczony. A zabijając Streladze, Walcowa i Skina - Manlay udowodnił, że po mistrzowsku posługuje się bronią. Lisa mógł zabić tylko on. Zwierzę musiało wyjść prosto na niego, było rozjuszony i agresywny, tak bowiem zachowują się wściekłe lisy, które zamiast uciekać, jak to mają w zwyczaju, rzucają się na człowieka. Manlay instynktownie wystrzelił dwie kule, które trafiły prosto w cel. Owa precyzja również

przema-



wiała za Manlayem. Dwie kule, które odstrzeliły lisowi głowę.

Tak, zważywszy wszystko, w grę może wchodzić jedynie człowiek na którego polował. „Polował” nie było zresztą właściwym słowem. Do sytuacji lepiej pasował czasownik „ścigać”. Czy można polować na człowieka takiego jak Manlay, który aż nadto udowodnił, że aby go pokonać, trzeba wypruć z siebie wszystkie flaki?

## Rozdział 8

Christian Lafaure drgnął. Usłyszał detonacje. Co to może znaczyć? Sezon polowań jeszcze się nie zaczął. Należy więc wykluczyć, że to myśliwi. Zatem kto? Gliny? Chyba tylko one. Do diabła, więc są tak blisko? Postanowił to sprawdzić. Lawirując między kolczastymi krzewami, z winchesterem przy biodrze, lufą wycelowaną przed siebie, zaczął iść w tamtą stronę. Wkrótce dotarł do jakiegoś strumienia i zatrzymał się. Gliny mogą zaczekać. Uważnie rozglądał się dokoła, łowiąc uchem każdy szmer i podejrzliwie przypatrując się każdemu szczegółowi roślinności. Upewniwszy się, że jest sam, położył karabin w zasięgu ręki na kawałku mchu, szybko rozebrał się i wszedł do wody. Prawdziwie odmładzająca kąpiel - pogratulował sobie. Woda była orzeźwiająca. Ostrożnie położył się, by nie pokaleczyć się o kamienie, którymi było usiane łóżysko. Nabrał wody do ust, wypłukał je, a potem wypłuł wodę. Między udami przepłynął mu pstrąg; roześmiał się, ciesząc się tą chwilą i nie chcąc jej psuć myślą o problemach, które go dręczyły. Po chwili zrobiło mu się strasznie zimno, podniósł się i wyszedł na trawę. Drżał nieco. Zerwał garść liści i energicznie wytarł się nimi, by się osuszyć. Stopniowo rzucał zmięte liście na wodę i patrzył, jak znikają unoszone prądem. Kiedy był już zupełnie suchy, włożył ubranie, podniósł karabin i ruszył dalej.

U wylotu przecinki znalazł jakąś drogę, skręcił w lewo i poszedł pod górę. Na samym środku ścieżki leżała głowa lisa. Zatrzymał się

zdziwiony, rozejrzał się dokoła i pod krzakiem zobaczył ciało zwierzęcia. Słyszał, że wśród lisów we Francji szerzy się wścieklizna. Dlatego bardzo uważał, by nie dotknąć zwierzęcia. Zresztą jego sparszywiła sierść nie wróżyła niedobrego. Lisa zabito niedawno. Krew była jeszcze świeża. Czy strzały, które słyszał, zostały oddane do tego zwierzęcia?

Nie miał czasu na rozważania. Głuchy warkot napełnił powietrze. Spojrzał poprzez gałęzie i zobaczył oscylujący między słońcem a ziemią helikopter. Po jego typowo wojskowym, oliwkowozielonym kolorze zorientował się, że to żandarmi. Na boku maszyny widniał jakiś napis, ale było za daleko, by mógł go odczytać.

Czy potrafiłby w niego trafić z tej odległości? Ogarnęła go nagła wściekłość. To ona stanowiła główną cechę jego charakteru. Ludzie, których zabił, padli właśnie jej ofiarą.

Wycelował, trzymając palec na spuście. W przebłytku przytomności zrezygnował z pójścia za pierwszym odruchem. Z żalem opuścił karabin. Wściekłość powoli gasła. Jeszcze gorąca i niszczycielska traciła już intensywność, rozsądek zaczynał brać

górze. Zbliżył się do granicy płaskiego terenu chcąc zorientować się w zamiarach żandarmów.

Żandarm ukłonił się grzecznie, rzucając jednocześnie krótkie spojrzenie w stronę pomarańczowego namiotu. Stojąca przed nim kobieta trzymała za rękę chłopczyka i dziewczynkę, którzy patrzyli jak urzeczeni na wolno obracające się łopatki wirnika.

- Dzień dobry - zaczął. - Szukamy mężczyzny z karabinem. Nie widziała go pani przypadkiem?

- Nie, ale słyszałam strzały.

Policjant z zainteresowaniem podniósł brwi.

- Strzały? Z jakiego kierunku?

- Popędziły tam moje dzieci, więc musiałam pobiec za nimi. Natknęliśmy się na wściekłego lisa, którego niedawno ktoś zabił. Prawdopodobnie były to właśnie te strzały.

- Skąd pani wie, że lis był wściekły?

- Powiedział mi to jakiś pan, który tamtędy przechodził. On także kogoś szukał, ale nie mężczyzny z karabinem, a jakiejś pary.

- Pary?

Żandarm pomyślał o hipotezie, jaką wysunął podpułkownik Gardinot: Christian Lafaure zamordował dwóch mężczyzn, których zwłoki znaleźli w starej owczarni, a potem uprowadził stamtąd niejaką Florence Dumont, żeby ją zgwałcić.

- Istotnie jest prawdopodobne, że poszukiwanemu przez nas mężczyźnie towarzyszy kobieta. Czy

byłaby pani taka dobra i pokazała mi, gdzie znaleźliście lisa?

- A może polecilibyśmy tam helikopterem? zaproponowała.

- Wytrzymasz? - spytał Manlay. Florence jęknęła.

- Przysięgam, że po powrocie do Paryża będę uprawiać jogging w Lasku Bulońskim.

- I brać udział w biegu *Le Figarol* - podbił piłeczkę.

- Gdzie się nauczyłeś chodzić w takim tempie? We Włoszech? A może wszedłeś na Wezuwiusza, by; zobaczyć czy nadal jest aktywny?

- Kupiłem kasety Jane Fondy i wolałem uprawiać gimnastykę w domu.

Roześmiała się, a potem znowu spochmurniała.

- Poza tym coraz bardziej chce mi się pić. Zawahał się, ale mimo wszystko zdecydował się na krótki postój. Zdjął plecak i postawił go w cieniu; skalnego występu, koło którego akurat przechodzili. Z kieszeni plecaka wyciągnął butelkę wody mineralnej i podał ją Florence.

- Nie pij jak smok - rozkazał. - Wyplucz usta wodą i wypluj ją.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

- Dawno temu, kiedy uganiałem się po górach Algierii.

- Nareszcie uchyliłeś rąbka swej historii.

Wzięła butelkę i zrobiła, jak Manlay kazał. Kiedy skończyła, on postąpił tak samo. Chował butelkę do kieszeni plecaka, gdy zobaczył rysujący się na tle nieba helikopter.

- Kryj się! - krzyknął.

Jednocześnie podciął Florence nogi, przerzucił ją przez ramię, a potem wziął na ręce i potoczył się z nią pod skalny występ, chwytając w przelocie plecak.

- Co się stało?

- Helikopter. Dyszała ciężko.

- Zastanawiam się, czy moje serce wytrzyma wszystkie te emocje.

- Jesteś chora na serce? - zaniepokoił się.

- Lekarze uważają, że mam nieco zbyt poszerzoną aortę.

Zmarszczył brwi.

- Czy to coś poważnego?

Położyła mu rękę na policzku, pragnąc go uspokoić.

- Nie.

Helikopter przeleciał nad ich głowami, ubijając gorące powietrze, a jego podmuch dotarł aż do ich twarzy.

- Znowu żandarmi - zauważyła Florence, która przeczytała napis na boku maszyny. Myślisz, że to nas szukają?

- Bardzo możliwe.

- Jakie są szanse, że nas capną?

- Sądzę, że dość nikłe, zwłaszcza kiedy dotrzemy do grot.

- Długo będziemy jeszcze iść?

- Mniej więcej godzinę.

Odwrócił się na plecy i obserwował niebo. Helikopter skręcił w stronę przeciwną, tam gdzie przedtem zamierzał pójść Manlay. Wspaniale - pogratulował sobie. Mimo lamentów Florence okazała się dobrym<sup>1</sup> piechurem. Nie wiedzieć kiedy przebyli szmat drogi, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę specyficzną rzeźbę, terenu. Całkiem nieźle.

- Masz w plecaku coś do jedzenia? - spytała.

~ Dam ci sucharki, ale będziesz je jadła po drodze.

Sięgnął do innej kieszeni plecaka i podał jej paczkę sucharków i butelkę kropli miętowych.

- Po zjedzeniu weźmiesz na język parę kropel. Smak mięty uśmierzy pragnienie.

- Skąd to wszystko wiesz? Z harcerstwa?

- Z algierskich gór. Nie marudź - poganiał.

W jego głowie zrodziła się nagle pewna hipoteza. Gdyby okazała się słuszna, ich sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia. A jeśli helikopter nie przelatował po prostu nad tym rejonem, ale wysadzał tu i ówdzie po kilku żandarmów, by zrobić zasadzkę?! Taką samą taktykę stosowano w Algierii i partyzanci dawali się na to nabrać. Metodę tę ochrzczono mianem „pchlích skoków”. Okazała się bardzo skuteczna. Ludzie bezwiednie wpadali w idiotyczną pułapkę, dawali się złapać jak nowicjusze.

Podczas gdy Florence rzuciła się łapczywie na sucharki, wstał, włożył plecak, zapiął rzemienie i zabrał winchestera.

-Nie spodziewałam się, że tak spędzę wakacje - powiedziała Florence ruszając za nim. – Obfitujące w niespodzianki spotkanie z zagadkowym, tajemniczym mężczyzną o niejasnej przeszłości pełnej niepokojących stref cienia. Facet okazuje się także świetnym strzelcem i nie waha się zabić dwóch ludzi, jakby chodziło o dwa najzwyklejsze dzikie króliki; wciąga mnie w serię pasjonujących przygód z żandarmami i wściekłym lisem w tle...

Sucharek chrupnął w jej ustach.

- Będiesz to wszystko opowiadała swoim uczniom na lekcjach filozofii w nowym roku szkolnym? - zadrwił.

- Zastanawiam się właśnie, w jakim kontekście mogłabym to zrobić. Może między Kierkegaardem, Heideggerem i Sartrem. Egzystencjalizm, ontologia egzystencjalna, egzystencja poprzedza esencję. Jeśli więc o mnie chodzi, żeby ukształtować swój byt, muszę najpierw przeżyć i poznać wszystkie doświadczenia; wśród nich i te, przez które każesz mi teraz przejść. W absurdalnym świecie koncepcja życia jest nierozłączna z wyborem drogi, którą trzeba iść poprzez udane lub bezowocne próby i starania uwiecznione sukcesem albo nie.

Ciągnął tym samym tonem:

- I poradzisz swoim uczniom, aby podczas następných letnich wakacji wybrali się na kemping do Ardeche, by spotkać tam awanturnika podobnego do mnie i dopiero po powrocie powiedzieli ci, jaką drogę życia obrali?

- Wykluczone żeby spotkali kogoś takiego jak ty, albowiem Kafka powiedział: „Jedyną



pociechą w tym dławiącym świetle jest to, że żadna istota niej jest podobna do drugiej”...

Po wy pytaniu kobiety i dzieci żandarmi wsiedli do helikoptera i odlecieli. Christian Lafaure obserwował ich z pewnej odległości. Przyjrżeli się lisowi. Jeden z nich włożył rękawiczki, przyniósł z maszyny duży, plastikowy worek, włożył do; niego korpus i głowę zwierzęcia, a potem związał worek białym, nylonowym sznurkiem i spalił rękawiczki. Zabezpieczone szczątki wrzucił do helikoptera. Nie można powiedzieć, by żandarmeria narodowa nie dbała o zdrowie ludności.) Zwłoki zwierzęcia trafią do jakiegoś laboratorium, gdzie zbadają, czy było chore na wściekliznę, czy nie.

Prawdę mówiąc, nic go to nie obchodziło.

Kobieta zabrała dzieci i ruszyła w powrotną drogę do pomarańczowego namiotu. Christian Lafaure szedł za nimi ścieżką równoległą do linii ich marszu, kryjąc się za drzewami. Kobieta podobała mu się.: Była wysoka, jasnowłosa, dobrze zbudowana.. Uwielbiał blondynki, a jej kanarkowożółte szorty zostały uszyte chyba przez jakiegoś genialnego? krawca, który nie zapomniał zaznaczyć wgłębienia; między pośladkami i zwężenia w kroku. Stanik przytrzymywał dwie piersi pełne jak bukłaki, a wspaniale opalona skóra miała barwę ni to miodu, ni to łupiny orzecha. Ciekła mu ślinka na widok pięknie rzeźbionych nóg, które wyginały się, kiedy skakała po kamieniach zaścielających gęsto rozległy teren.

Doszedł do wniosku, że kobieta z pewnością nie zostanie w tym zakątku długo. Przecież żandarmi ją ostrzegli. Lafaure stał trochę za daleko, by wszystko słyszeć, poza tym, choć

łopatki wirnika obracały się w zwolnionym tempie, robiły jednak straszny hałas.

Chory psychicznie morderca... Rozbiliście namiot

na takim odludziu...Pani mąż łowi ryby w rzece? Niech go pani zawiadomi...Tak, lepiej się stąd wynoście...Wracajcie do miasta...” To przecież dosyć, by wystraszyć kobietę. Była młoda. Miała co najwyżej trzydzieści lat. Dojrzała. Rozkwitła. Lafaure czuł, że jego członek pęcznieje. To świetnie. Cudowne uczucie. Dzięki niemu prawie zapomniał o żandarmach. Ostatecznie życie jest piękne, jeśli człowiek potrafi właściwie nim pokierować. Oczywiście są jeszcze dzieci.

Dziewczynka, którą kobieta nazywała ładnym imieniem Belle, wyróciła się jak długa i matka podniosła ją i zbeształa.

Będzie najlepiej, pomyślał, jeśli przyjdę do namiotu przed nimi. Zaczął biec rozgarniając gałęzie kolbą karabinu. Kiedy dotarł na wysokość namiotu, z przyjemnością stwierdził, że ma dobre sto metrów przewagi.

Położył się na brzuchu i podczołgał pod tylną część namiotu. Kiedy chciał wstać, zahaczył nogą o śledzia, zachwiał się i runął jak długi na namiot, łamiąc jeden z drążków. Kiedy usiłował odzyskać równowagę, upuścił karabin właśnie w chwili, gdy kobieta z dziećmi znalazła się przed nim. Na widok broni

dzieci zaczęły krzyczeć ze strachu i uciekły wołając „Tatusiu! Tatusiu!” Przerazona matka odwróciła się na pięcie. Zrozumiała, że niebezpieczeństwo, o którym mówili żandarmi, zmaterializowało się, o zgrozo! tu, na jej oczach.

Lafaure podciął jej nogi. Padając rozcięła sobie kolano a z jej ust wydarł się jęk. Pod palcami czuł aksamitną skórę i nie myślał o niczym innym. Raptownym ruchem bioder znalazł się na młodej kobiecie i szybko chwycił ją oburącz za gardło. Kobieta wyła. Ścisnął ze wszystkich sił, a obydwoma kolanami blokował delikatne ciało uwięzione pod jego dziewięćdziesięciokilogramowym ciężarem. Kręgi szyjne chrupnęły i przestały stawiać opór. Kobieta znieruchomiała: miał wrażenie, że pod naciskiem jego ręki uchodzi z niej powietrze. Wstał i zaciągnął kobietę do jednego ze śpiworów w namiocie, a potem rozebrał ją zszarpując skąpe ubranie, jakie na sobie miała. Potem rozchylił jej uda i spuścił spodnie. Jej oczy były nadal szeroko otwarte. Szortami zakrył jej twarz. Nienawidził, by kobieta - żywa czy martwa - patrzyła na niego podczas miłosnego aktu. Było to jego zdaniem niestosowne. Miłość wymaga skromności. Właśnie z tego powodu zaciągnął ciało pod namiot. Miłość należy osłaniać przed ludźmi, uprawiać ją w ciszy i zamknięciu, odizolować, bo miłość to poważna rzecz.

Kobieta była ładna. Ładna i uległa. Taka ładna jak imię jej córki. Córka? A niech tam sobie biegnie. Do rzeki jest daleko. Ojciec nieprędko tu wróci. Tak, była piękna. Naprawdę mu się podobała. Tak jak tamte. Na co więc, do licha, jeszcze czeka? Owoc jest

zerwany. Dlaczego go nie skosztować? Poszukał drogi, znalazł ją, wszedł śmiało do środka. Właśnie wtedy usłyszał warkot helikoptera.

Smantow pocił się jak mysz. Praca oficera prowadzącego skazuje na zbyt siedzący tryb życia. Wszedł z formy. Obecny rezydent KGB w stolicy Francji nazywał się Suropatkin, lecz rok przed nim funkcję tę pełnił niejaki Grigorenko, który miał bzika na punkcie formy fizycznej. Ale czy w gruncie rzeczy nie miał racji? Na jego żądanie ambasada wynajęła wspaniałą posiadłość prywatną w departamencie Yvelines, zaś z Moskwy sprowadzono instruktorów kultury fizycznej. Trzy razy na tydzień zwoływał po południu wszystkich swych agentów z regionu paryskiego i oddawał ich w ręce instruktorów, Nic im nie zostało oszczędzone: skok wzwyż, skok w dal, bieg na 1 500 i 5 000 metrów, rzut kulą i dyskiem, gimnastyka na przyrządach, ćwiczenia na koniu z łękami, tor przeszkód. Dostawali w kość niczym rekruci Armii Czerwonej. Wszystko to sprawiło, że agenci cieszyli się wspaniałą formą. Ale największą radość z tej imprezy mieli rywale, chłopaki z francuskiego kontrwywiadu. Dzięki pomysłowi Grigorenki Francuzi mogli wyłowić tych agentów KGB, których jeszcze nie znali. Na szczęście dla KGB radziecka „wtyczka” pracująca u Francuzów zaalarmowała Moskwę, a ta błyskawicznie odwołała Grigorenkę, którego miejsce zajął Suropatkin.

Wkrótce dokonano jeszcze wielu służbowych przeniesień, a agentów KGB działających w regionie paryskim wysłano w inne strony. Smantow uniknął czystki i dotąd zastanawiał się, czemu to zawdzięczał. W każdym razie przy Suropatkinie nie było już ćwiczeń fizycznych. Wszystkich instruktorów wyekspediowano do Moskwy pierwszym rejsem Aeroflotu. Jeśli natomiast chodzi o Grigorenkę, szeptało, że zgłosił się na ochotnika do pracy na Syberii i wyjechał na tak zwane „celiny”. Francuski kontrwywiad dotąd drwił z jego naiwności i miłości do sportu, które pozwoliły francuskiej centrali poczynić znaczne postępy w demaskowaniu wrogich agentów.

Przyklęknął i uważając by nie poparzyć się pokrzywami, podniósł podarty celofan. Widniał na nim napis: „Sucharki Braun”. Do wnętrza dłoni posypały mu się okruszyny oraz kawałek ciasta, na którym jeszcze widniały ślady zębów. Pociągnął nosem - poczuł słaby zapach mięty. Zastanowiło go to zestawienie - sucharki i mięta. Może to miętowe sucharki? Przeczytał napis na opakowaniu. Żadnej wzmianki na temat mięty.

Rozerzał się dokoła. Jak długo może przetrwać na świeżym powietrzu zapach mięty, zanim rozplynie się w atmosferze? Nie miał najmniejszego pojęcia.

Czy jest na dobrym tropie? Czy to Manlay wy - rzucił opakowanie po sucharkach? A może towarzysząca mu kobieta? Czemu nie? Kto wędrował po tym pustkowiu? Nikt. Poza mieszkającą w namiocie kobietą z dwojgiem dzieci. Jedynym punktem orientacyjnym był lis. Jeżeli rzeczywiście

zabił go Manlay, Smantow jest na właściwym tropie, gdyż ścieżka, którą szedł, wiodła w kierunku przeciwnym do starej owczarni i było więcej niż prawdopodobne, że tędy uciekł Manlay, którego przewaga w czasie wcale nie musiała być znaczna.

Po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że zapach mięty jest świeży. Koniec końców może to istotnie Manlay chrupał ten sucharek. Lub towarzysząca mu kobieta.

Smantow wstał, celofan, okruchy i niedojedzony kawałek sucharka wrzucił w kępę pokrzyw i ruszył w drogę.

Ścieżka skręcała pod kątem prostym. Spoza liści wyjrzał promień słońca i zalśnił na metalowym hełmie. Smantow zareagował błyskawicznie: cofnął się dwa kroki, zerwał z ramienia torbę i szerokim gestem przerzucił ją jak najdalej za kępę pokrzyw. Gdy na zakręcie drogi ukazali się żandarmi, stał już swobodnie z ręką opartą o biodro. Stróże porządku publicznego równocześnie skierowali swe karabinki w brzuch Rosjanina.

- Ręce do góry! - rozkazał ostro pierwszy. Smantow natychmiast zrobił co mu kazano, ale uznał za stosowne zaprotestować.

- Co to ma znaczyć? Jestem spokojnym obywatelem, nie gangsterem, nie zrobiłem nic złego!

Dwaj policjanci zbliżali się ostrożnie, rzucając wokół podejrzliwe spojrzenia. Jeden z nich miał na plecach aparat nadawczo-odbiorczy. U pasa kołysał mu się różaniec z granatów. Żandarm, który kazał Smantowowi podnieść ręce do góry, zrewidował go, na co pozwolił burcząc

pod nosem:

- Nie wiem, czego szukacie, ale to na pewno nie ja!

## Rozdział 9

Kiedy Jean-Francois Dagueyre miał atak strachu, wypadł na ulicę, paliło go w piersiach, miał zamęt w głowie, sucho w ustach, szum w uszach, serce podchodziło mu do gardła i tłukło się jak oszalale. Potrzebował powietrza, przestrzeni. Myślał o kosmonautach szybujących po niezmiernym wszechświecie i zazdrościł im. Bo on jako lek na swą klaustrofobię miał tylko ulice Paryża. W owych momentach zanurzał się w atmosferę bajek dla dzieci; jej nierealność zaspokajała bowiem jego głód bezkresnych, otwartych przestrzeni. *Alicja w krainie czarów* wprowadzała go w stan upojenia. *Czarodziej z Oz* porывał go w zaczarowane krajobrazy pełne landrynkowych wróżek i magów z czarnymi jak węgiel oczami. Utożsamiał się z bohaterem *Gwiezdnych wojen* i odbywał dalekie wyprawy na potężnych pojazdach kosmicznych, lawirując między gwiazdami i kwazarami. Zwolna strach słabł, uspokajał się, ciężar w żołądku stawał się mniejszy. Oddychał lepiej. Podniecenie opadało, smutek mijał, wracało dobre samopoczucie. Wówczas przyśpieszał kroku i szukał jakiejś otwartej piwiarni, gdzie mógłby ugasić coraz bardziej dotkliwe pragnienie. Zamawiał herbatę. To najlepszy napój, kiedy zupełnie zaschnie ci w ustach. Bez cukru. Z odrobiną cytryny.

Tego wieczoru znów go naszło. Wybiegł na ulicę de Rivoli i od razu przeszedł na drugą stronę, tę od Tuileries. Na paryskich arteriach jeden chodnik jest zawsze bardziej pusty niż drugi. Pod arkadami był, jak na jego gust, za duży ruch. Poszedł aż do



Chatelet, potem dalej ulicą Saint-Antoine, z obrzydzeniem skrzywił się na widok chmury samochodów i motocykli wirujących wokół kolumny na placu Bastyli i skręcił w bulwar Richard-Lenoir. Wybrał środkową alejkę, tam gdzie przed laty na Żelaznym Targu kupił roześmianej Severine przedpotopowy nocnik z głupawymi scenkami a la Bernardin de Saint-Pierre. Później Severine używała go jako doniczki do kwiatów. Bulwar Richard-Lenoir to oczywiście komisarz Maigret. Jean-Francois Dagueyre był fanem Maigreta, ale czuł się zawiedziony zakończeniami powieści o nim; uważał je bowiem za banalne i niezbyt oryginalne.

Znów skręcił w prawo, w bulwar Voltaire. Na stacji metra Charonne poczuł się trochę lepiej. Zaraz przyśpieszył kroku. Właśnie w podobnych momentach dręczyło go największe pragnienie. Na placu zobaczył piwiarnię *Canon de la Natation*. Wszedł. Ponury kelner ze smutno zwisającym wąsem i martwym okiem podał mu herbatę. Zamówił jeszcze jedną. Zaczynał przychodzić do siebie; oczy miał żywsze, wargi wilgotne, serce na miejscu.

Kiedy kelner niósł mu drugą herbatę, wszedł jakiś mężczyzna, usiadł dwa stoliki od niego i zamówił kufel monachijskiego piwa. Długo, bez cienia żenady przypatrywał się Daguerre'owi, który początkowo wcale się tym nie przejmował, całkowicie zajęty likwidowaniem skutków swego strachu. Jednak teraz w jego umyśle kielkowały przeróżne pytania. Dlaczego nieznajomy tak się nim interesuje? Czy jest homoseksualistą? Ani jego wygląd, ani sposób bycia wcale na to nie wskazywały. A może to jakiś świr, który lubi włóczyć się wieczorami po kawiarniach, a dzisiaj z przyczyn znanych jedynie swej podświadomości przykleił się do osobnika wybranego przypadkowo według kryteriów rządzących jego chorym umysłem? Niewykluczone. Paryż jak wszystkie wielkie miasta obfituje w ten gatunek dziwadeł. Często trudno się od nich odczepić. Dzielą się na dwie kategorie: agresywną i patetyczną. Typ pierwszy jest niebezpieczny. W gruncie rzeczy uwielbia przemoc. Szuka pretekstu do zwady. Typ drugi stara się pozyskać twą sympatię, by zadręczać cię wynurzeniami. Stare religijne nawyki sprawiają, że ma skłonność do roztrząsania spraw sumienia, kawiarniany kontuar podnosi do rangi konfesjonału i prosi o rozgrzeszenie między dwoma kieliszkami aperitif.

Zarówno od pierwszego, jak i od drugiego należy natychmiast salwować się ucieczką.

Jean-Francois Dagueyre uregulował rachunek. Szykował się, by wstać i wyjść z piwiarni, kiedy tamten uprzedziwszy go, prześlizgnął się koło jego stolika w drodze do toalety. Koło pustej filiżanki coś upadło i osłupiały

Jean-Francois Dagueyre wpatrywał się dłuższą chwilę w mały prostokąt glansowanego papieru. Potem dotarła do niego brutalna prawda. Myriam. Na zdjęciu była Myriam, o której od roku nic nie wiedział. Gdy sięgał po zdjęcie, by lepiej mu się przyjrzeć, drżała mu ręka. Myriam była wesoła, odprężona, śmiała się pokazując dołeczki w policzkach; uderzająco podobna do swojej matki, Severine. Te same oczy i czarne włosy, ta sama krągła twarz, te same mocno zarysowane usta. Od roku jeszcze wydorosłała. Świadczyły o tym wyraźniejsze rysy.

Strach, który udało mu się jakoś opanować, zaatakował znowu, gwałtowny i niszczyielski. Oddychał z trudem. Odruchowo sięgnął do serca wiedząc aż za dobrze, że nie może nic zrobić. Potem ręka zmieniła kierunek, by pomachać na kelnera. Czknaj zamawiając trzecią herbatę. Tym razem wydusił cytrynę i pił łączywie, parząc sobie język. Nie przyniosło mu to ulgi, jednak mógł podnieść się z krzesła i pójść do toalety. Co to miało znaczyć? Kim był nieznajomy? Dlaczego na stoliku położył fotografię jego córki? W jakim celu?

Mężczyzna mył ręce, nonszalancko pogwizdując melodię, która przed czterema laty była szlagierem lata. Na widok Jean-Francois Dagueyre'a uśmiechnął się uprzejmie.

- Czego pan... - zaatakował ten ostatni zaciskając pięści, by się opanować.

- To ona, prawda? - uciął tamten.

- Jaka ona?

- Myriam.

Zakręcił krany, włączył elektryczną suszarkę i wsunął pod nią ręce. Jean-Francois Dagueyre z wysiłkiem przełknął ślinę> Atmosfera w tym podziemnym pomieszczeniu była duszna. Miał wrażenie, że znajduje się w zanurzonej łodzi podwodnej, która tonie.

- Tak, to Myriam.

- Wie pan, byłem tego pewny, ale przecież nigdy nie wiadomo. Ostatecznie pan jest jej ojcem. Pan powinien wiedzieć...

- Gdzie ona jest?

Szum suszarki zmniejszył się, potem umilkł. Mężczyzna zatarł ręce i pociągnął dziennikarza w kierunku schodów.

- Lubi pan chodzić? Ja także. Może byśmy trochę pospacerowali? Porozmawialibyśmy sobie o Myriam.

U góry schodów czyhał na niego kelner. Jean-Francois Dagueyre zapłacił za trzecią herbatę. Kiedy byli na zewnątrz, spytał:

- Kim pan jest?

- Proszę mnie nazywać Sancerre.

- Sancerre?

- Jak marka wina. Skierowali się w stronę Vicennes.

- To co panu zrobiła Severine, to świństwo - zaczął Sancerre. Uwielbia pan małą. Severine wiedziała o tym i kiedy odeszła od pana na dobre, chciała się okrutnie zemścić, uniemożliwiając panu widywanie się z Myriam. Myślę, że się jej udało.

Cholernie to pana zabolalo. Nie jest pan już tym samym człowiekiem co dawniej. Tak przynajmniej twierdzą pańscy przyjaciele, koledzy dziennikarze...

- Kim pan naprawdę jest? - przerwał Jean-Francois Dagueyre, którego otrzeźwiło chłodne powietrze nocy. - Co ma pan wspólnego z Severine i Myriam?

Przeszyło go straszliwe podejrzenie. Czy ten człowiek jest mężczyzną, który zajął jego miejsce w sercu Severine? Jej nowym kochankiem? Dziwka!

- Pragnąłby pan zobaczyć Myriam. A jeśli można, nawet ją odzyskać. Albo nawet porwać matce. Niestety nie wie pan, gdzie się znajdują.

Jean-Francois Dagueyre poczuł kamień w żołądku.

- A pan to wie.

- Czy byłbym tutaj, gdyby było inaczej? Zjawilem się, by pomóc panu zapomnieć o dręczących go cierpieniach.

- Gdzie jest Myriam?

Głos Jean-Francois Dagueyre'a potykał się na każdej sylabie.

- Czy lubi pan paryskie skwery nocą? - spytaj Sancerre.

- Są zamknięte.

- Można bez trudu przeskoczyć przez parkan Chodźmy.

Poszli na skwer zajmujący środek placu de li Nation. Sancerre prowadził. Minął ławkę, na które flirtowali zakochani, z których jedno chciało a drugie nie. Minął dwie inne, gdzie spali pochrapując kloszardzi i wreszcie znalazł jakiś zaciszny kąt. Usiadł, i gestem zachęcił dziennikarza, by uczynił to samo, a potem powiedział całkiem innym tonem:

- Czy widział się pan ostatnio ze Smantowem? Dziennikarzowi odjęło mowę. Miał

wrażenie, że został brutalnie przeniesiony w inny świat. Co wspólnego może mieć Smantow z Myriam i Severine, a w ogóle kim jest ów człowiek, który WIE i zadaje mu takie pytanie? Odsunął się do tyłu. - Co to ma znaczyć? Czego pan chce? Sancerre powiedział słodziutko:

- Niech pan nie udaje obrażonej dziewicy. Jestem pracownikiem Służb Specjalnych i muszę panu powiedzieć, że od dawna pana namierzaliśmy. Jednak nie można mieć do pana o to pretensji. To wina Rosjan. Dzięki zbiorowym seansom kultury fizycznej, zorganizowanym przez pewnego faceta zwariowanego na punkcie gimnastyki, mogliśmy zidentyfikować wszystkich jego agentów, a dzięki nim sporo ich francuskich współpracowników, w tym i pana.

Ale nie ma pan zbyt obciążonego konta. Gra pan dziennikarza o skrajnie prawicowych poglądach, dzięki czemu może pan uzyskiwać różne informacje od faszystowskich organizacji włoskich, hiszpańskich i innych, a potem przekazywać je swym moskiewskim pracodawcom. To dla nas bez znaczenia. Przynajmniej na razie. Wiemy, że niedawno widział się pan ze Smantowem, swoim oficerem prowadzącym. Prawdopodobnie chodziło o rutynowe spotkanie. Przynajmniej tak sądziliśmy. Ale natychmiast po tym Smantow znikł, jakby się paliło, a wraz z nim trzej goryle z ich Służby Operacyjnej. Ostatnio KGB rzadko ucieka się do ich usług, dlatego że z wielu powodów dyplomatycznych i innych Rosjanie nie lubią dekonspirować się na francuskiej ziemi, która jest dla nich niemal tabu. Chyba że Moskwa rozkaże inaczej. I chyba właśnie to się zdarzyło po jakiejś

informacji, którą przekazał pan Smantowowi. Co to za informacja tak ważna, że wymaga osobistej interwencji Smantowa i trzech goryli ze Służby Operacyjnej?

W jego głosie zabrzmiało natarczywe pytanie. Jean-Francois Dagueyre o mało nie zwymiotował, tak straszny ciężar zwałił mu się na wątrobę, żołądek, serce. Otaczająca go ciemność jakby zmętniała, zrobiło mu się duszno; tak musi wyglądać koniec świata, piekło, potępienie, czas po samobójstwie.

- Powinien pan przeprowadzić leczenie kortyzonem - podjął Sancerre łagodnym głosem. - Przecież jeśli pańska analiza okaże się słuszna, pana kłopoty mogą szybko się skończyć.

- Jaka analiza? - wybełkotał Jean-Francois Dagueyre.

- Ta, która prowadzi do wniosku, że źródłem pańskich dolegliwości jest brak Myriam.

- Już rozumiem, do czego pan zmierza - coś za coś.

- W jednej ze swych sztuk teatralnych Aleksander Dumas-syn twierdzi, że dobry interes to taki| który się negocjuje dokładnie jako wypadkową interesów wszystkich stron. Jest pań spalony, Dagueyre. Czytamy w panu jak w otwartej księdze. Odwracając ją może pan zachować życie. W przeciwny^ razie podzielimy się wiadomościami na pański temat z Włochami z *Ordine Nuovo* albo z Hiszpanami z *Fuerzaz Nueuas*.

I Myriam zostanie sierotą. Oni nigdy nie chybują i nie cofają się przed niczym. Proszę sobie przypomnieć boloński dworzec. Sądzimy zatem, że zechce pan odwrócić tę kartę, bo to

najlepsze rozwiązanie. Może nie jest to upojna perspektywa, choć nie sądzę, by KGB zwietrzyło sprawę. Za to odchodzi pan z pełnymi rękami, to znaczy z adresem, pod którym mieszkają Severine i Myriam. Coś za coś, jak to pan ujął. Myriam za Smantowa. Pali pan?

- Nie.

Sancerre zapalił papierosa i wypuścił dym w kierunku nieba.

- Moja oferta jest kusząca, prawda?

- Skąd pan jest? Z policji politycznej?

- Z kontrwywiadu.

- Zapuszczacie się na cudze podwórko.

- W naszych czasach we Francji już nie wiadomo kto jest kim ani gdzie jest czyje podwórko. Proszę mi nie mówić, że jest pan fanatykiem etyki albo kodeksu deontologii. Nie pan. Jak zatem brzmi pańska odpowiedź? Dobijamy targu?

- Jaką mam gwarancję, że pan...

- Zdjęcie, które włożył pan do kieszeni w *Canon de la Natatton* - przerwał sucho Sancerre. Ono jest gwarancją. Adres dostanie pan później.

Był to pojedynek na noże i on w nim przegrywał - uświadomił sobie z rozpaczą Jean-Francois Dagueyre. Ale jakie to miało ostatecznie znaczenie? Bez Myriam nic go nie interesowało. Rok bez Myriam.



Wieczność. Dręczący go strach był nie do zniesienia. Jęknął. Sancerre przysunął się do niego.

- Wiem, że lubi pan cytaty z literatury. To normalne u dziennikarza. Po Aleksandrze Dumas zacytuję panu Alberta Camusanie można nieustannie drzeć z zimna...” Niechże pan zatem wejdzie ogrzać się przy mym ogniu. Za długo brnął

pan przez śnieg. Bez Myriam. Widzi pan, że wiemy wszystko o panu i pańskim strachu. Dlaczego natychmiast z tym nie skończyć? Tak czy siak jest pan ugotowany, bo namierzyliśmy pana. Acha, czy pan wie, że Myriam zapalała szalonym uczuciem do prześlicznego kucyka imieniem Kaprys?

Jean-Fracois Dagueyre pochylał się do przodu i zwymiotował trzy wypite filiżanki herbaty. Sancerre poklepał go po ramieniu i podał mu chusteczkę.

- Myriam jest w Szwajcarii... - zaczął z fałszywym współczuciem.

Dziennikarz zamknął oczy, a potem szybko je otworzył.

Świat za jego zamkniętymi powiekami był o wiele gorszy od mroku spowijającego skwer.

- To, co powiem, nie spodoba się panu - powiedział z rezygnacją.

- Doprawdy? - rzekł Sancerre z niedowierzaniem.

- Informacje, które przekazałem Smantowowi, dotyczą generała Tanguy de Viellebois de Natachat.

- Proszę mówić dalej - powiedział Sancerre obojętnie.

- Nie jest pan zdziwiony?

Jean-Francois Dagueyre pozwolił sobie na beczelną drwinę, która dodała mu ducha i sprawiła, że betonowy blok przygniatający pierś zelżał.

- Ostatecznie - syknął przenikającym na wskroś głosem - chodzi przecież o pańskiego szefa, zwierzchnika francuskiego kontrwywiadu...

## Rozdział 10

Spowijała go noc. Był głodny, chciało mu się pić, ale przede wszystkim aż się w nim gotowało z wściekłości. Helikopter zmusił go do ucieczki zanim mógł doprowadzić do końca miłosne igraszki z matką Belle. Co za strata! Takie młode, piękne ciało o takiej gładkiej skórze. Ciało przyzwalające. Byli w namiocie sami jak dwoje wstydliwych kochanków. I właśnie w tym momencie ci przekłeci gliniarze musieli się zjawić ze swym cholernym heikopterem. Zdążył tylko złapać winchestera i dać nura w zagajnik. Biegł długo. Zakosami. Musiał stracić ze dwa kilo.

Był głodny i dręczyło go pragnienie. Podczołgał się do strumienia i pił zanurzywszy podbródek w wodę. Aby oszukać głód wziął do ust parę źdźbeł trawy i żuł je, choć bał się trochę, że jakiś przechodzący tędy turysta mógł na nią nasiusiać. Obwąchiwał ją nieufnie. Nie. Nie czuł niczego podejrzanego... Przypomniał sobie o pewnym miejscu, gdzie rosły poziomki, cudownym, rajskim zakątku; trawa była tam bardziej zielona niż gdzie indziej, a czerwone owoce poziomek tworzyły na niej przepiękny wzór układając się w przeróżne arabeski.

Tak, to dobre rozwiązanie. Trzeba tam zajrzeć. Zaspokoić głód. Potem odpocząć, wyspać się i ruszyć dalej. Opuścić to przekłete Ardeche, które go guzik obchodzi. Powędruje do departamentu Lozere. Tak, to wcale niegłupi pomysł. Do Lozere. Przyroda jest tam równie życzliwa. Zamelinuje się na pewien czas w jakimś letnim domu z pełną piwniczką i dobrze

zaopatrzoną spiżarnią. Tak, już jutro.

Smantow był głodny i chciało mu się pić. Oczywiście nie zabrał nic do jedzenia, nie przewidując, że cała operacja może przybrać tak fatalny obrót.

W gruncie rzeczy dosyć łatwo udało mu się pozbyć żandarmów, którzy szukali niejakiego Christiana Lafaure, bestii żądnej krwi i seksu, człowieka, który zbiegł ze szpitala psychiatrycznego, wielokrotnego mordercy uzbrojonego w karabin winchester. Najbardziej zdumiewające w całej sprawie było to, że wedle słów żandarmów Christianowi Lafaure przypisano zamordowanie Walcowa, Streladze i Skina. Nie do wiary. Naturalnie trzech agentów nie udało się zidentyfikować z tego prostego powodu, że podobnie jak papiery Smantowa ich dokumenty zostały<sup>1</sup> w samochodzie. Żandarmi wcale nie żądali, by się wylegitymował. Ostatecznie wzięli go przecież za turystę wędrującego w swobodnym stroju po okolicy, poza tym szybko się zorientowali, że nie jest osobą poszukiwaną przez nich na terenie całego kraju. Poradzili mu także, by się stąd zabierał, bo kto wie, jaki stopień agresji osiągnął Lafaure? Czy nie rzuci się na samotnego turystę ot tak, dla samej przyjemności zabijania, podobnie jak to zrobił w starej owczarni?

Smantow odegrał scenę straszliwego przerażenia. Oczywiście udawał. Wymachując kluczykami od samochodu zaklinał się na wszystkie świętości, że zaraz wraca do wozu i jak najszybciej wyjeżdża z tak niebezpiecznego miejsca.

Żandarmi poszli dalej. Po pewnym czasie Smantow wrócił po torbę plażową i starał się

nadrobić opóźnienie, ale wciąż nie był pewien czy obrał właściwą drogę.

Teraz ogarnął go paniczny lęk. W Paryżu Suropatkin musiał się niecierpliwic, bo Smantow obiecał do niego zatelefonować. Dzień kończył się w powodzi płynących po niebie czerwonych i fioletowych obłoków, ale Smantow pozostał obojętny na urodę tego widowiska. Jeszcze nie śmiał dopuścić do siebie takiej oto przerażającej możliwości: operacja skończy się całkowitym fiaskiem i nie zdobędzie fotografii. Byłoby to dla niego zupełną katastrofą. Ani Suropatkin ani tym bardziej Moskwa nie wybaczą mu tej potwornej fuszerki, nie mówiąc już o śmierci Walcowa, Streladze i Skina. Oczyma duszy widział, jak na jednym z paryskich lotnisk wsiada do Ił-62 albo Tu-154 w otoczeniu czterech goryli pilnujących, by w ostatnim momencie nie zdecydował się paść w ramiona chłopców ze Straży Granicznej. Na ten obraz nakładała się inna ponura wizja: Grigorenko, podobny bardziej do żywego trupa niż do

człowieka, doprowadzony do takiego stanu w syberyjskim łągrze.

Zacisnął zęby, gdyż szybkie zniechęcanie się nie leżało w jego naturze. Szanse na sukces były niewielkie, ale były. Za wszelką cenę musi zdobyć fotografię, ową fotografię, która niechybnie sprawi, że generał Tanguy de Viennebois de Natachat, szef francuskich Sił Specjalnych, wpadnie w sieci KGB. I pomyśleć, że dla Manlaya prawdopodobnie nie przedstawiała ona większej wartości, była jedynie pamiątką ze spotkania dwóch mężczyzn zaangażowanych w podziemną robotę. Czy w ogóle wiedział, kim jest teraz ten człowiek? Czy kiedykolwiek mu to powiedziano? Drugi z figurujących na fotografii mężczyzn był o wiele za ostrożny, by to zrobić.

Jedyną wodą, jaką kiedykolwiek wziął do ust Justin Cherval, była woda w ostrygach, które degustował podczas przepustek w okresie służby wojskowej; odbywał ją w bazie morskiej w Mimizan koło Arachon. Poza tym, jedynym paliwem, na jakim pracował jego organizm, było miejscowe wino, to samo, które kupował także dla Manlaya. Gdyby miał gitarę, mógłby twierdzić, że to o nim mówi stary przebój Georges'a Moustaki: *Avec ma gueule de meteque et mon uisage de patre grec*. Twarz miał ogorzałą, pobrużdżoną, krzaczaste brwi wygięte u nasady greckiego nosa wtulonego w gęste, rozcapierzone wąsy, wiszące niczym rowerowa kierownica nad bujną, patriarchalną brodą, którą mówiąc nieustannie poruszał, jakby pragnął strząsnąć z niej jakąś okruszynę. Był wysoki, barczysty, prawie łysy, oczy miał szare, ubranie wytarte. Na płaskowyżu skąpo porośniętym trawą pasł powierzone swej

opiece stado liczące trzysta głów.

Podczas gdy pasterz stał ze spojrzeniem wlepionym w winchestera, który trzymał Manlay, Florence wpatrywała się w niego ciekawie i wdychała powietrze pachnące kwaśnym owczym mlekiem.

- Masz jakieś kłopoty? - spytał.

- Ale niezawinione, wszystko ci wytłumaczę - odparł Manlay.

- Możesz się tu czuć jak u siebie w domu, nigdy nie pytam o nic przyjaciół; to co robią, jest zawsze dobre. Widzę, że nareszcie znalazłeś sobie kobietę. Wiedziałem, że nie potrafisz żyć bez niewiasty. Trzeba się urodzić tutaj, by umieć znosić samotność.

Jego spojrzenie ześlizgnęło się z karabinu i objęło Florence życzliwym ciepłem. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Pomyślałem o grotach - rzekł Manlay. Tam będziemy bezpieczni.

- Czego się boisz?,,

- Helikoptera żandarmerii.

- Jestem głodna i chce mi się pić - wtrąciła Florence.

Justin Cherval skinął głową.

- Pozwólcie ze mną.

Zaprowadził ich do wnętrza grotty i wskazał bochenek żytniego chleba, surową szynkę, ser i bukłak, który otworzył, by nalać wina do dzbanka.

- Częstujcie się.

Florence już chwyciła za nóż. Manlay rzucił plecak i karabin, po czym usiadł naprzeciwko młodej kobiety, a tymczasem pasterz poszedł po cynowe, cudownie spatynowane kubki, na widok których Florence wpadła w zachwyty i zaczęła wypytywać o ich pochodzenie.

- Są w mojej rodzinie od średniowiecza - odpowiedział Justin z dumą. - W tym rejonie historia toczyła się bez większych wstrząsów. Wiele rzeczy przez całe wieki pozostało w takim samym stanie. Nic nie przepadło.

Nalał wina. Florence dosłownie rzuciła się na jedzenie. Manlay wcale nie miał apetytu. Czuł się jakoś nieswojo. Miał wrażenie, że został wystrychnięty na dudka, oszukany, okradziony. Unikał spojrzenia Justina. Coś się gdzieś nie zgadzało. Pomyślmy: gdyby starą owczarnię zaatakowali rzeczywiście Włosi z *Prima Linea*, jakim cudownym zbiegiem okoliczności helikopter żandarmerii, który chyba nie patrolował tego pustynnego obszaru, pojawiłby się w tak odpowiednim momencie? Co należało teraz robić mając na głowie Florence? Istna łamigłówka. Czy miał prawo wciągać w swoje historie nie tylko młodą kobietę, ale również tego zacnego Justina, tak oddanego, życzliwego, dobrego, prostego, tak ujmującego przez swą prostoduszność i spontaniczność.



Pasterz skręcał papierosa w zniszczonych pracą palcach. Manlay poznał paczkę tytoniu. To on ofiarował ją Justinowi w przeddzień spotkania z Florence. To Amsterdamer. Dotychczas pasterz palił zwykłą machorkę. Pstryknęła stara, powyginana zapalniczka. Płomień o mało nie podpalił jednego - z włosów na brodzie.

- Jak długo zostaniecie ze mną? - spytał Justin. Manlay ciągle jeszcze się wahał. Czy najlepszym

wyściem nie byłby powrót do Włoch? Wprawdzie jego protektor, generał Dalia Chiesa padł z ręki sycylijskiej mafii, ale Manlay miał jeszcze wielu przyjaciół w kierowniczych gremiach Brygady Anty-mafijnej.

- Nie wiemy - odparła śmiało Florence widząc jego wahanie.

- Jesteście tu mile widziani - rzekł Justin.

Manlay zmrużył oczy na znak, że dziękuje. Florence ukroiła sobie grubą pajdę żytniego chleba i właśnie zerkała w stronę owczego sera, kiedy dał się słyszeć warkot. Justin rzucił przestraszone spojrzenie na Manlaya i Florence.

- Nie wychodźmy - nakazał Manlay.

Odłożył kanapkę z wiejską szynką, którą sobie naszykował i podczołgał się do wejścia grotty. Słońce na niebie koloru indygo szybko zachodziło za linię horyzontu i barwiło na różowo sierść baranów. Helikopter ciężko się obrócił, wytracił wysokość, a potem przeleciał zaledwie metr nad stadem, które zdjęte przerażeniem pierzchło bez ładu, i składu. Żandarmi bawią się - wynioskował.

~ Chcą się rozerwać po długim, popołudniowym patrolu. Do licha, mało im trupów w starej owczarni?

Przez chwilę maszyna zabawiała się muskając *skidsami* głowy zwierząt, potem znudzony się tą grą wzbiła się w powietrze i wzięła kierunek na wzgórze. Justin ostrożnie podszedł do stanowiska Manlaya i milcząco posępnie patrzył na ten spektakl.

- Nie pozostaje mi nic lepszego, jak zagonić barany - mruczał niezadowolony, gdy helikopter zniknął.

Manlay bez słowa patrzył, jak pasterz wstaje, bierze długą żerdź i wychodzi z groty swym chybotliwym krokiem brodzącego ptaka. Później on z kolei podniósł się i wrócił do jedzącej Florence.

- Twój Justin jest miły, uroczy, a jego cynowe kubki to istne cuda. Każdy antykwariusz dałby mu za nie fortunę. Są teraz niesłychanie modne, a oryginalne okazy takie jak te, z których teraz pijemy, można znaleźć nader rzadko.

- Justin nie przywiązuje wagi do pieniędzy.

- Już to zrozumiałam.

Łyknęła duży haust wina i zamyśliła się.

- Tyle się wydarzyło od dzisiejszego ranka, prawda? - zaczęła.

- I w stu procentach zmieniło bieg twego życia. Czy zostawiłaś swoje papiery w starej owczarni?

- Rzeczywiście.

- A więc namierzili cię. Ze mną będzie podobnie, gdy dowiedzą się, kto tam mieszkał.

Było to niezupełnie tak, bo używał

falszywego nazwiska, ale z Florence wolał nie wdawać się w te szczegóły. Po chwili odezwał się:

-Wątpię, czy ministerstwu edukacji narodowej spodoba się styl wakacji, jakie spędzasz w moim towarzystwie. Nie mają nic wspólnego z przygodami Tintina, Milou i kapitana Haddocka. Nie bawimy się także w podchody. Jeśli twoi najwyżsi przełożeni dowiedzą się, w jakie tarapaty wpadłaś, na pewno cię zwolnią albo przynajmniej zawieszą.

Zesztywniała, dotknięta do żywego.

- A może mam już dość pracy w liceum?

Potrząsnął z uporem głową:

- W naszych czasach egzystencjalistyczne ciągoty wyszły już zupełnie z mody. Jeśli nie wertujesz *Bojaźni i drżenia* Kierkegaarda albo *Bytu i nicości* Sartre'a, nie musisz się już tłumaczyć przed uczniami.

Powiedziała hardo:

- A może mam po prostu ochotę rozszyfrować zagadkę, jaką ty dla mnie jesteś?

Manlay uśmiechnął się blado.

- I postanowiłaś, że w cztery oczy odegramy sobie *Przy drzwiach zamkniętych*?

## Rozdział 11

*La trahison batle tambour Fait du deuoir  
un calembour Et sous la liuree ennemie Dit noir le  
blanc crime l'amour Dit honneur quand cest  
infamie Nuit quand c'estjour....*

“Zdrada bije w bęben, szydzi z obowiązku,  
przywdziewa wrogi mundur i mówi, że białe to  
czarne, a miłość to zbrodnia, honorem zwie  
infamię, a dzień nocą... (swobodny przekład  
tłumaczki.”

Strofy napisane przez Louisa Aragona  
jakieś czterdzieści lat temu, podczas niemieckiej  
okupacji, dźwięczały z przerażającą aktualnością w  
pamięci Sancerre'a, kiedy patrzył na  
nieprzeniknione oblicze generała Tanguy de  
Viellebois de Natachat. Dzięki podwójnym  
szybom, do wygodnie urządzonego gabinetu szefa  
francuskiego kontrwywiadu nie przenikał żaden  
dźwięk z zewnątrz, nawet hałas pojazdów  
mknących bulwarem Mortier. W popielniczce  
dopalało się samotne cygaro, z którego wolno  
wychodziły spirale dymu i jak zauważył Sancerre  
odrywając wzrok od twarzy swego szefa, układały  
się w coś, co przypominało znak zapytania.

Generał miał na sobie cywilne ubranie w  
kolorze! dostosowanym do dziedziny, w jakiej  
pracował. A jednak nie miało barwy ścian, lecz  
było ciemne, neutralne, nie rzucające się w oczy.  
Zgaszony popielaty kolor harmonizował z  
ciemniejszym o ton krawatem i oczami  
pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu. Weselszym

akcentem była wpięta w klapę rozetka Legii Honorowej, w kieszonce tkwiła chusteczka, na której było widać górną kreskę litery T z jego inicjału. Starannie wymanikiurowane ręce nieruchomo spoczywały na wypolerowanym blacie biurka w stylu Ludwika XV, które posiadacz tego gabinetu polecił wyciągnąć z zakurzonych suterren *Mobilier Nationaf*. Obrączka na lewej dłoni świadczyła o tym, że jest żonaty, ale zdaniem niektórych małżeństwo to zostało zawarte bardziej z przyczyn natury politycznej i finansowej aniżeli z porywu serca. Twarz choć poważna, była pogodna, gładka, dokładnie wygolona, różowa, wargi cienkie jak ostrze brzytwy, podbródek wyniosły, nos orli; nieprawdopodobnie wysokie czoło jakby spychało na czubek czaszki i skronie resztki włosów cofających się w nienagannym szyku niczym hiszpańska piechota w XVI stuleciu.

Teraz z pamięci Sancerre'a wypłynął jeszcze inny utwór - czterowiersz napisany przez Roberta Brasillacha, również poetę, lecz o zupełnie innej orientacji politycznej niż Louis Aragon. Brasiliach napisał go w swojej celi w więzieniu we Fresnes na dwa dni przed śmiercią; rozstrzelano go 6 lutego 1945 roku za kolaborację.

*Tout, quand vous uoulez, Seigneur, est possible,*

*Le verrou se tire au seuil du cachot,*

*Lejusil s'abaisse au bord de la cible,*

*Les morts qu'on pleurait sortent du tomhe-  
au....*

„Wszystko jest możliwe, jeśli zechcesz, Panie, klucz odmyka drzwi więzienia, karabin się zniża nie tykając celu, z grobu wstają zmarli, których opłakiwaliśmy... (swobodny przekład

tłumaczkę).”

Jakie wiersze wybrał Tamten przed śmiercią? Na pewno utwór Brasillacha. Czy przed rozstrzelaniem pomyślał o Tanguy de Viellebois de Natachat? Czemu nie? W każdym razie nie wymienił jego nazwiska, a to znaczy, że miał dla niego wiele szacunku i że sam nie był donosicielem.

- Doskonale, panie...hmm... Sancerre? Czy to pański pseudonim?

- Tak, panie generale.

- A więc doskonale, panie Sancerre, że skontaktował się pan ze mną z pominięciem drogi służbowej.

- Przyszło mi to z pewnym trudem i sędzę, że straciliśmy dużo czasu.

- Jest pan pewien, że nikomu pan o tym nie mówił?

- Absolutnie. To zbyt poważna sprawa.

W spojrzeniu generalnego dyrektora zamigotał błysk rozbawienia.

- Jakie jest pańskie zdanie o tej sprawie, Sancerre?

Sancerre zrobił unik:

- Nie mam zdania, panie generale. Mam na myśli przede wszystkim interes Francji. Jeżeli do sprawy podłączyło się KGB, jest on zagrożony i to jest moją główną troską.

W Służbie (zawsze ją tak nazywano, mimo że jej oficjalną nazwę - Służba Dokumentacji Zewnętrznej i Kontrwywiadu - zmieniono 10 maja 1981 roku na: Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego) uwielbiano termin „podłączyć się”.

Zebrał się na odwagę.

- Czy to zdjęcie rzeczywiście istnieje, panie generale?

W oczach generała znowu zamigotał błysk rozbawienia.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, mój zacny Sancerre.

Zarówno ton, jak i zwrot „mój zacny Sancerre” były nieco pobłażliwe.

- Ale czy jest możliwe, że rzeczywiście sfotografowano pana w towarzystwie...

Viellebois de Natachat zatrzymał go szybkim ruchem ręki.

- Żadnych nazwisk. Nazwiska mają tę niemiłą właściwość, że płyną w eter, a potem za sprawą jakiegoś nieznanego acz bardzo naturalnego zjawiska wracają i wpadają do różnych uszu. Odpowiadając na pańskie pytanie muszę przyznać, że



owszem jest możliwe, że sfotografowano mnie w jego towarzystwie. Problem polega na tym, w jakim okresie...

- Dobrze go pan znał? - odważył się jeszcze spytać Sancerre, pozwalając sobie w ten sposób na poufałość w stosunku do hierarchicznego przełożonego.

- Znałem go. Niech mi pan opowie o tym Smantowie. Czy to as?

- Był asem, gdy pracował jako agent lokalny w Służbie Operacyjnej. Rozleniwił się trochę, od kiedy został oficerem prowadzącym.

- Więc dlaczego jemu właśnie powierzono zdobycie fotografii?

- Zamysły Moskwy, podobnie jak wyroki Opatrzności, są niezbadane, panie generale.

- Jak pan sądzi, jaką ma przewagę w czasie?

- Dwadzieścia cztery godziny.

- To dużo. Czy mamy jakieś szanse?

- Zawsze możemy przejąć Smantowa razem ze zdjęciem, o ile udało mu się wejść w jego posiadanie.

- A jeśli go nie zdobył? Mówi pan, że ten Manlay, to twardy facet.

- Nasłano na niego czterech ludzi. A on nic ma się na baczności. Moim zdaniem KGB osiągnie swój cel.

- Gdyby wszystko poszło tak łatwo, Smantowowi wystarczyłaby doba, by załatwić sprawę i wrócić. Tymczasem, zdaje się, nie wrócił do Paryża?

- Nie. Albo już ma zdjęcie i kazano mu oddać je jakiemuś agentowi spoza Paryża, albo go nie ma i jest wciąż na miejscu.

- Na miejscu? Interesujące. Dlaczego nie mielibyśmy zobaczyć, co Smantow kombinuje na miejscu, jeśli wciąż tam jest?

- Źle się składa, panie generale. Manlay znajduje się w Ardeche, a właśnie w ten departament wlepione są oczy całej Francji z powodu psychicznie chorego, działającego ze szczególnym okrucieństwem mordercy, który uciekł ze szpitala i już zamordował parę osób. Policja i żandarmeria bardzo energicznie poszukują go w tym regionie. Sprawdziłem na mapie: kręci się akurat w tej okolicy, gdzie ukrył się Manlay.

- Ale po kiego diabła Manlay wrócił do Francji? Przecież może to mu wyjść bokiem.

- Włoscy lewicowi ekstermiści nałożyli cenę na jego głowę. Chyba zresztą tęsknił za krajem. Dwadzieścia lat bez oglądania Francji, to dużo.

Generał spuścił głowę, do końca zgasił cygaro i podjął:

- Departament Ardeche został podzielony na strefy przez żandarmerię szukającą tego mordercy?

- Tak. Zaalarmowani przez radio turyści, ludzie na biwakach i wczasowicze uciekają stamtąd. Nikt nie ma ochoty natknąć się na tego szaleńca.

Generał zastanawiał się; jego ręce na powierzchni, wypolerowanego blatu biurka w stylu Ludwika XV znów znieruchomiały.

- Przecież ten morderca nie może działać na całym obszarze departamentu - zauważył wreszcie – i nie ma żadnego powodu, by szukano go akurat w zakątku, gdzie ukrył się Manlay. Myślę, że powinniśmy tam pojechać.

Patrzył, jakie wrażenie wywrą te słowa na jego rozmówcy. Sancerre zdziwił się:

- *Powinniśmy*, panie generale?

- Każdy, kto zgodził się objąć kierownicze stanowisko, powinien liczyć się z tym, że niekiedy będzie musiał udać się do swoich ludzi w terenie. Jeśli już mówimy o ludziach... Jak wiemy, Manlay to twardy facet. Pojadę z panem, ale kiedy dojdzie do działania bezpośredniego, będzie pan sam, bo jest oczywiście wykluczone, aby personel Służby został zamieszany w tę sprawę. Musi ona pozostać naszą tajemnicą. Waśnie dlatego sugeruję, by o pomoc dla pana zwrócić się do ludzi z zewnątrz. Czy nie ma już, jak to było w pewnym niezbyt odległym okresie naszej historii, owych najemników, rekrutujących się ze środowiska mniej lub więcej, hmm... kryminalnego... którzy za sową opłatą zgodziliby się podjąć tajną misję i wywiązaliby się z niej w sposób kompetentny, skuteczny i absolutnie dyskretny?

Sancerre odkaslnął.

- Dopóki będzie istniał świat, będą istnieli tacy najemnicy, panie generale - powiedział sentencjonalnym tonem.

- Czy zna pan kogoś takiego?

- Należy to do moich obowiązków; to rutyna w pracy Służby.

- Czy mógłby się pan z nimi szybko skontaktować? W tempie, nazwijmy to, błyskawicznym?

- Jest to możliwe, panie generale.

- Zatem proszę się tym natychmiast zająć.

Po załatwieniu tego drobiazgu zatelefonuje pan do mnie. Poprosi pan wewnętrzny 828 i przedstawi

się

jako Gamma. Centrala będzie uprzedzona. Ja ze swej strony zarezerwuję prywatny samolot, którym polecimy do Saint-Etienne, a tam dwa samochody dowiozą nas z lotniska na miejsce.

Sancerre już był na nogach.

- Niech pan zmyka - polecił generał z uśmiechem, który miał być życzliwy, a który nie poruszył nawet jednego mięśnia w jego marmurowym obliczu, co wprawiło w podziw jego podwładnego.

Kiedy Sancerre znalazł się na korytarzu, znów przypomniał mu się pewien wiersz. Tym razem nie był to Louis Aragon ani Robert Brasiliach, ale Andre Chenier.

*Et des coeurs sur ta tombe en une sainte  
Wresse*

*Chanteraient Nemezis, la ta.rd.ive deesse,  
Quifrappe le mechant sur son trône  
endormi...*

Całkiem a propos. Nemezis, grecka bogini Zemsty i Sprawiedliwości, która dosięga generała Tanguy de Viellebois de Natachat, niegodziwca śpiącego na swym tronie. Tymczasem on, Sancerre, opowiedział się po stronie owego niegodziwca, bo dla jego kariery było to o wiele bardziej korzystne, niż gdyby stanął po stronie oficjalnej, po której były też karzące za zdradę Zemsta i Sprawiedliwość. Czy generał okaże mu wdzięczność? Będzie musiał czuwać, by niewdzięczność nie stała się karą za pomoc udzieloną byłemu oficerowi i zdrajcy.

Spiesznie ruszył w kierunku bulwaru, a kiedy już się na nim znalazł, przezornie doszedł do stacji metra Porte de Montreuil, a dopiero potem wstąpił do jakiejś piwiarni. Czy śledził go któryś z kolegów ze Służby? Trudno wykluczyć z uwagi na fakt, że aby dotrzeć do generała, pominął drogę służbową, a to najprawdopodobniej wzbudziło podejrzenia. Jak wiadomo etatowi pracownicy kontrwywiadu podejrzewają wszystkich o wszystko. Podeszedł do baru, zamówił szklanę *William Lawson's* z wodą mineralną i lodem, a potem wyjął żeton i poszukał telefonu. Przychodziły mu do głowy różne możliwości, ale z uwagi na pozycję generała nie mógł zwrócić się do cudzoziemców, a zwłaszcza do ludzi zaangażowanych politycznie. Pozostawali zwykli kryminaliści. Ale nie pierwsi z brzoza, lecz tacy, na których miał haka, czyli kompromitujące materiały na temat zabójstwa Maurice'a Fragoliniego, króla francuskich gier hazardowych, zastrzelonego na własnym parkingu w szesnastej dzielnicy, kiedy wsiadał do swego mercedesa.

## Rozdział 12

Z zarośli wyszła koza, która wypuściła się pewno na zwiedzanie szerokiego świata. Była tłusta. Wymię zwisało jej z brzucha niczym pełen bukłak, który zabrałby ze sobą przezorny przewodnik karawany, wybierając się w długą podróż przez pustynię. Nie była specjalnie płochliwa, w czym przypominała służące na fermach, które Christian Lafaure, zanim żandarmi roztrąbili, że jest wariatem, lubił kłaść na miękkiej trawie w ciepłych porach roku, w okresie rui, kiedy pragnienie aż buzuje w młodych ciałach. Koza miło skłaniała głowę, pełna zrozumienia, przyjacielska, o wiele bardziej przyjacielska niż ludzie ścigający człowieka, którego obwąchiwała i lizała po ręce.

Rozczulony tymi objawami sympatii Christian Lafaure pociągnął ją za sobą. Zwierzę nie stawiało oporu, uradowane tą nieprzewidzianą przygodą. Koza ani razu nie beknęła niestosownie, była dyskretna jak zakonnica wymykająca się na miłosną schadzkę. Szła koło niego lekkim krokiem, jakby podrzucana do góry przez kopyta, których mogłaby jej pozazdrościć jakaś wróżka z *Bajek Perraulta*.

-Spokojnie, spokojnie moja śliczna.

Odnajdywał zapomniane słowa, które same wypłynęły z zakamarków pamięci. Czuł się dobrze, był spokojny, napięcie opadło. Mimo wszystko nie śmiał posunąć się aż do stwierdzenia, że życie jest piękne. Przełożył karabin na lewe ramię. Prawy pośladek zaczął solidnie mu doskwierać poobijany kolbą. Wreszcie doszli do jakiejś ocienionej polanki. Zatrzymał kozę, pogłaskał, przytulił się do niej.

- Nie bój się, moja śliczna, nie zrobię ci nic złego, ciebie na pewno nie zabiję. Chcę tylko twego ciepłego, słodkiego mleka, jestem taki głodny, taki spragniony

Smantow z daleka obserwował przybycie Manlaya z kobietą do grotty oraz ich powitanie z pasterzem stada. A więc miał dobrego nosa. Węch zaprowadził go we właściwe miejsce. Prawie miał ochotę krzyczeć z radości. Ponury cień gułagu zaczął się oddalać. Oczywiście Suropatkin musiał się niecierpliwić, nikt też nie wymaże z jego konta śmierci Walcowa, Skina i Streladze, ale przynajmniej jak dotąd akcja nieS zakończyła się całkowitą klapą, chyba że Manlay nie zabrał ze sobą fotografii. Jednak o tym będzie miał czas pomyśleć później, to dalszy etap. Tamta trójka nie wiedziała, że śledzi ich myśliwy, i to myśliwy żądny zemsty. Doskwierał mu głód i pragnienie, lecz były to rzeczy drugorzędne. Czyż od czasów dzieciństwa nie był obeznany z głodem? Przecież nie raz musiał wcinać zimny kapuśniak!



Zrobił sobie chwilę odpoczynku. Rzemień torby wpił mu się w ciało aż do krwi. Zrzucił ją i postawił przed sobą, jakby chciał zasłonić otwór strzelniczy.

Jednak podstawowy problem pozostał: Manlay nadal miał karabin. A kto wie, może pasterz także jest uzbrojony? Żyjąc na takim odludziu niewątpliwie podjął pewne środki ostrożności i zaopatrzył się w myśliwską strzelbę, która pozwalała mu przez cały rok bezpłatnie urozmaicać sobie pożywienie. Okolica na pewno obfituje w zwierzynę. Poza tym Manlay musiał mieć tokarewa, którego on Smantow, wypuścił z ręki. Niewybaczalne. Co tu gadać, starzeje się. Ale nie ma sensu bawić się w psychologizowanie. Okoliczności wymagają działania. Ale jak się do tego zabrać? Jego jedynym atutem jest działanie z zaskoczenia. Nie. Ma niejeden, a dwa atuty: zaskoczenie i noc.

Jednak na razie należało pozwolić, aby jego trzy tarcze strzelnicze usnęły...

Manlay i Florence byli zdumieni. Nic już z tego wszystkiego nie rozumieli. Justin nastawił tranzystorowe radio, by posłuchać informacji. Był bardzo przywiązany do swego odbiornika, dzięki któremu miał kontakt ze światem zewnętrznym i mógł zachować złudzenie, że uczestniczy w wielkich wydarzeniach istniejącego gdzieś daleko świata. *Polowanie na człowieka w Ardeche* - zapowiadał dziennik radiowy: *chory psychicznie morderca o sadystrycznych skłonnościach wy dostał się na wolność...* Komentator z lubością rozwodził się na temat wydarzeń związanych ze sprawą. Człowiek zbiegł ze szpitala psychiatrycznego...

*Ma na s umieniu kilka zabójstw, w tym trzy popełnione dzisiejszego popołudnia... Najpierw dwaj mężczyźni zabici koło starej owczarni, którą starał się puścić z dymem, podpalwszy najpierw dwa samochody... Potem matka rodziny, kobieta, której o mało nie zgwałcił... Poszukiwano też niejkiej Florence Dumont, przypuszczalnie kolejnej ofiary szaleńca...*

- Po raz pierwszy znalazłam się na pierwszej stronie gazet! - zawołała Florence zwarzona.

Justin z ciekawością spoglądał na swych gości. Kiedy dziennik się skończył, Manlay postanowił wszystko mu opowiedzieć. Pasterz słuchał w milczeniu, a potem z zakłopotaniem zaczął skubać brodę.

- Przecież o zabicie tych dwóch ludzi oskarżają Christiana Lafaure, nie ciebie.

Na ustach Manlaya pojawił się uśmiech zadowolenia.

- To prawda. I trzeba skorzystać z tej szansy, z owej pomyłki, która prawdopodobnie wkrótce zostanie wyjaśniona.

- Dlaczego miałyby zostać niebawem wyjaśniona? - zaoponował Justin. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Z takim życiorysem ten wariat zostanie oskarżony o wszystkie zbrodnie, niezależnie od tego, czy je popełnił czy nie. Zanim odkryją, o ile w ogóle odkryją, że nie jest winny śmierci ludzi, których zabiłeś, upłynie bardzo wiele czasu.

- Justin ma rację - przytaknęła Florence. - Zrobią z tego Lafaure'a kozła ofiarnego. Nie uwierzą mu,

nawet jeśli będzie chciał coś im tłumaczyć. Kto zresztą może z całą stanowczością stwierdzić, że będzie miał po temu okazję? Kto wie, czy żandarmi nie zastrzelą go, jeśli nie zechce złożyć broni i poddać się?

- Złożyć broni... - powtórzył Manlay w zamyśleniu. - Dziennikarz radiowy powiedział, że Lafaure dysponuje karabinem kalibru 30, takim samym jak mój. Ten dziwny zbieg okoliczności niewątpliwie przyczynił się do pomyłki dotyczącej tożsamości osoby, która zabiła tych dwóch facetów w owczarni.

- Jak myślisz, co to byli za ludzie? - pragnął się dowiedzieć pasterz. - Z jakiego powodu was zaatakowali?

- Nie mam pojęcia - zrobił unik Manlay. Zastanawiał się przez parę chwil, a potem powiedział dobitnie:

- Oto jak wykorzystamy sytuację, jaka powstała w związku z obecnością Lafaure'a w tych stronach. Ukryję karabin. Zakopię go w głębi grotu wraz z pistoletem, który dostał się w moje ręce. Czy wciąż masz swoją myśliwską strzelbę, Justinie?

- Jest pod kocem za tobą.

- Świetnie. Alibi Florence i moje będzie następujące: przyszliśmy do ciebie dzisiaj z rana i ofiarowałeś nam gościnę, więc zostaliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, co wydarzyło się w owczarni. W ten sposób będziemy oboje czyści. I wszystko pójdzie na rachunek Lafaure'a. W jego sytuacji dwa morderstwa mniej czy więcej...

Przy ostatnim zdaniu jego głos nabrał nieco cynicznego brzmienia. Świadom, że powiedział rzecz

niegodziwą, usprawiedliwiał się sam przed sobą; *ostatecznie zabiłem tych dwóch ludzi w obronie koniecznej, a co grozi temu Lafaure'owi? Dożywotnie więzienie, które i tak go nie minie za wcześniejsze lub późniejsze zbrodnie. Poza tym trzeba za wszelką cenę wyciągnąć Florence z kabaty, w jaką się nierozważnie wpakowała upierając się, by Iść ze mną.*

- Twój plan wydaje mi się sensowny - przyznali Justin nalewając sobie wina do szklanki.

- Co ty na to, Florence? - spytał Manlay.

- Ten Lafaure spada nam z nieba.

Podpisuję się pod tym, co powiedziałaś.

- W razie gdyby przyszli tu za nami wspólnicy ludzi, którzy na nas napadli, będziemy mogli użyć twojej myśliwskiej strzelby, Justinie. A jeżeli zjawią się żandarmi, broń tak kompromitująca jak karabin winchester i pistolet tokarewa nie wpadnie w ich ręce.

- Tokarew to rosyjska nazwa - zauważył Justin.

- To istotnie pistolet produkcji rosyjskiej. Jaki stąd wniosek? Przyznaję, że niezbyt wiem.

Następnie Justin poprowadził Florence i Manlaya poprzez podzielony na dwie równe części labirynt grot; jedne z nich łączyły się ze światem zewnętrznym wąskim przejściem, do drugich absolutnie nie było dostępu. Justin świetnie się czuł w roli pana oprowadzającego przyjaciół po swych włościach., Światło jego elektrycznej latarki z wielką znajomością rzeczy biegało od jednej szczeliny do drugiej *m* poszukiwaniu jakiejś dobrej kryjówki. Prześlizgiwało się po strużkach wody spływających z wilgotnych'

ścian przepędzając nietoperze, których tak bardzo bała się Florence.

- Tutaj - odezwał się nagle Manlay przy dywanie z mchu zagłębiającym się w szczelinę, która zdawała się ginać w tajemniczym skalnym labiryncie.

- Tu jest zbyt wilgotno - sprzeciwił się Justin. Broń, zardzewieje, a amunicja będzie nie do użytku.

- A kto ci powiedział, że zamierzam jeszcze kiedyś się nią posłużyć? - odpalił Manlay.

Położył karabin, pistolet i magazynki na nierównym podłożu i zwrócił się do Justina.

~ Przynies nóż kuchenny i jak najwięcej starych szmat.

Pasterz usłuchał. Gdy wrócił, Manlay zabrał się do roboty.

Wyciął płat mchu, oderwał go od skały i odłożył na bok, a potem pistolet, karabin i magazynki owinął w szmaty przyniesione przez Justina. Uformowany w ten sposób długi walec wsunął w szczelinę i pchał aż do momentu, gdy jego podstawa zginęła w głębi. Zrobiwszy to położył płat mchu na miejsce i przyklepał go dłonią. Wreszcie podniósł się i zapewnił:

- Stawiam sto przeciwko jednemu, że gdyby żandarmi przyszli cię przesłuchać, Justinie, nawet nie zajrzeliby do tych grot. Dlaczego mieliby to robić? Ty nie jesteś podejrzany, my także nie. Florence uchodzi nawet za potencjalną ofiarę chorego psychicznie mordercy.

- To prawda - przyznał pasterz.

- Możemy już wracać - rzekł Manlay.

Ruszyli w stronę grotty, jaką zajął dla siebie Justin w przedniej części skalnego masywu wznoszącego się nad pokrytą trawą połącią, na której pasł swoje stado. Na prymusie ugotował kawę i pili ją w ciszy, każde z nich zatopione we własnych myślach i poruszone dziwacnością sytuacji i jej prawie irrealnym charakterem.

- Tej nocy przynajmniej nie usłyszemy warkotu helikoptera żandarmerii - rzuciła Florence, by rozładować ponurą atmosferę.

Na twarzy Justina odmalował się smutek.

- Kiedy helikopter przeleciał tu ostatnim razem, moje stado wystraszyło się - powiedział z żalem. - Zwierzęta rozpierzchnęły się i potrzebowałem bardzo dużo czasu, by je tu zagonić. Mam też parę kóz, jedna z nich gdzieś się zgubiła. To moja ulubienica. Jest całkiem biała, więc nazwałem ją Marysią Śnieżynką i...

Florence spojrzała na niego zdumiona.

- Marysia Śnieżynka? Takie poetyczne imię dla kozy?

Wyraz zgorzienia odmalował się na twarzy pasterza, pocętkowanej płomieniem ogniska rozpalonego w jednej z nisz wyżłobionych w skale przez naturalne erozje i połączonej kominem, również naturalnego pochodzenia, który skręcał w kierunku wierzchołka masywu.

- Czemu nie? - zaprotestował. - Czy poezja nie! odnosi się także do kóz?

- No właśnie, czemu by nie? - powiedział z naciskiem Manlay, rzucając młodej kobiecie ironiczne spojrzenie.

- Mam nadzieję, że jutro ją odnajdę -  
westchną! Justin ze smutkiem.

## Rozdział 13

- W prawo - rzekł Sancerre.

Siedział z tyłu obok generała i przyświecając sobie elektryczną latarką patrzył na plan sporządzony przez Jean-Francois Dagueyre'a. Miejsca na przedzie zajęli Sebastiani i Bellaiche. Pierwszy z nich prowadził nie wyróżniającego się niczym *citroena*, którym jechali teraz przez departament Ardeche. Ich samolot *mystere 20*, należący do kontrwywiadu, wylądował po zapadnięciu nocy w Saint-Etienne. Tam czekały na nich dwa samochody przysłane przez lioński oddział Dyrekcji Generalnej, *citroen* i *peugeot*. Do tego drugiego wsiedli Zeitoune i Guerin - pozostała dwójka z kwartetu gangsterów zwerbowanych przez Sancerre'a w czasie tak krótkim, że zaskoczony generał nabrał szacunku dla sprawności swego podwładnego.

Generał szybko się pozbył szefa oddziału liońskiego i dwóch kierowców, którzy przyprowadzili samochody. Sancerre dostrzegł zdziwienie na twarzy szefa oddziału - niewątpliwie najlepszego szpiega, jakiego Francja posiadała w latach siedemdziesiątych; starego, posiwiąłego w bojach wiarusa, mocno



utykającego na jedną nogę po wieloletnim pobycie w bułgarskim więzieniu, gdzie traktowano go ze szczególnym okrucieństwem. Prędko odwrócił wzrok. Rozumiał, co musi czuć ten człowiek, który na pewno zadawał sobie pytanie, dlaczego jego najwyższy zwierzchnik otacza się taką tajemnicą i kim są czterej podejrzani osobnicy towarzyszący jemu i Sancerre'owi.

Ale szef oddziału był człowiekiem zdyscyplinowanym, więc bez słowa wykonywał to, co mu polecono. Sześciu przybyłych mężczyzn załadowało się do aut i wzięło kierunek na Ardeche. W teczkach czterech gangsterów i Sancerre'a znajdowała się broń i materiały bojowe.

- Jeszcze raz w prawo - polecił Sancerre, który wychylił się do przodu i wcisnął głowę między głowy Sebastianiego i Bellaiche'a, by nie przegapić żadnego szczegółu.

- Daleko jeszcze? - zapytał generał beznamiętnym głosem.

- Najwyżej pół godziny jazdy - odparł Sancerre.

Sebastiani i Bellaiche nie otwierali ust, bo Sancerre kazał im siedzieć cicho. Wolał, aby generał nie do końca się orientował, do jakiej kategorii ludzi z marginesu należeli obaj mężczyźni. Zresztą mówili slangiem i zacinali się, co mogłoby zaszokować człowieka posługującego się tak wytworną francuszczyzną jak on.

Jechali w milczeniu. *Citroen*, za którym podążał *peugeot*, podskakiwał na złej, wyboistej nawierzchni.

Sancerre zerknął na zegarek i oznajmił:

-Jesteśmy prawie na miejscu. Za pięć minut zatrzymamy się i dalej pójdziemy pieszo. Lepiej nie płoszyć zwierzyny.

- Zgadzam się w całej pełni - przytaknął generał. Ledwo skończył mówić, Sebastianiego oślepiło

światło dwóch reflektorów; był tak zaskoczony, że o mało nie uderzył w pień dużej osiki na skraju drogi. Z mroku wyszło dwóch żandarmów. Generał opanował odruch zniecierpliwienia.

- Nie ma dwóch zdań - rzekł z przekąsem - żandarmi są wszechobecni. Odkąd im powierzono osobistą ochronę głowy państwa, zaanektowali Francję. Jeszcze trochę, a zaczną roznosić pocztę.

- Są groźbą dla demokracji - obłudnie wtrącił Sancerre, który był cywilem.

Sebastian! nacisnął na pedał hamulca i zgasił silnik. Jeden z żandarmów, z pmką na biodrze, wyskoczył z furgonetki i zbliżał się miarowym krokiem. Sancerre opuścił szybę i poczuł, że generał ściska go za rękę. Spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- Tak?

Od wyjazdu z Paryża rozmyślnie nie używał jakichkolwiek grzecznościowych zwrotów związanych z tytułem, jaki nosił jego zwierzchnik. Nigdy się do niego nie zwracał per „panie generale”, bo czterej gangsterzy nie mogli się dowiedzieć, z kim mają do czynienia.

- Niech pan coś wymyśli - szepnął mu do ucha Viellebois. - Musimy pojechać dalej i dotrzeć do celu.  
Prawdopodobnie żandarmi zastawili zasadzkę na

szaleńca, o którym pan wspominał. Nie mamy z tym nic wspólnego. Niech pan ich jak najszybciej spławi.

- W porządku - odpowiedział Sancerre i odwrócił się wolno do żandarma, który zajrzał przez uchyloną szybę.

- Czego tu szukacie?

Policjant mówił z rozkosznym, południowoza-chodnim akcentem, który Sancerre'owi zaraz skojarzył się z zapachem fasolki po prowansalsku i smażonej wątróbki.

- Jedziemy odwiedzić przyjaciela mieszkającego w samotnie stojącej owczarni.

- Tej za strumieniem? Zresztą żadnej innej tu nie ma.

- Tak, właśnie tam.

r Zjawiacie się w samą porę. Poszukujemy kogoś, kto zna pańskiego przyjaciela.

- Sancerre struchlał, na skroniach poczuł jakby powiew zwiastujący niespodziewane nieszczęście.

- Co mu się stało?

- Nie jestem uprawniony do udzielania informacji, ale z pewnością moi zwierzchnicy zechcą pana przesłuchać. Zawiadomimy ich przez radio.

W ciemnościach samochodu Sancerre zbladł i nagle poczuł jak ciepła jest noc. Za wszelką cenę musi coś zrobić, dowiedzieć się, co się przytrafiło; Manlayowi. Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia” pod jakim nazwiskiem ukrywa się w tym zakątku; Jean-Francois Dagueyre wiedział na ten temat nie więcej niż on. Prawdopodobnie używa fałszywych personaliów. Postępowanie się prawdziwym nazwiskiem byłoby dla Manlaya

zbyt niebezpieczne. Popęlnionych przez niego zabójstw nie objęło jeszcze przedawnienie, gdyż nie upłynęło dwadzieścia przewidzianych prawem lat.

- Czy zna pan Florence Dumont?

- Florence Dumont? - powtórzył Sancerre.

- Kto to taki?

Dziennikarz nie wspomniał mu, że w życiu Manlaya jest jakaś kobieta. Skąd się wzięła? Rzeczywiście wszystko się coraz bardziej komplikowało, zwłaszcza że nie wiedzieli, co udało się zdziałać Smantowowi, który miał nad nimi dwadzieścia cztery godziny przewagi. Może do tego robił aluzję żandarm? Może Rosjanin i jego trzech zbirów ze służby operacyjnej zlikwidowali Manlaya i zabrali fotografię? Byłoby to straszne nieszczęście.

- Mój przyjaciel nie żyje, prawda? - usiłował wyciągnąć coś z żandarma; w sercu miał ucisk i niemiłe wrażenie, że za jego plecami generał nabiera gigantycznych rozmiarów, które przygniatają go, dławią, miażdżą.

- Wcale tego nie powiedziałem - odparł żandarm. - Proszę się stąd nie ruszać, powiadomimy przez radio naszych przełożonych.

- Niech pan robi, co każe - szepnął generał do ucha Sancerre'owi.

Sancerre sam zamierzał tak postąpić. O ucieczce nie było mowy. Żandarmi byli uzbrojeni, więc gdyby kazał Sebastianiemu wrzucić wsteczny bieg i wiać, byłoby to równoznaczne z samobójstwem, tym bardziej że blokował im drogę *peugeot*. Jedna seria z pmki i są ugotowani. Pomyślny rozwój jego kariery

był ważny, ale nie do tego stopnia by dał się idiotycznie sprzątnąć w imię interesu generała.

Florence kochała się z taką rozpaczą, jakby to miały być jej ostatnie chwile z Manlayem. Miała lekki zawrót głowy i uczucie, że siedzi na rozpedzonej huśtawce, wiedząc przy tym, że sznury, na których jest zawieszona są do połowy podcięte, a pod nią jest przepaść. Był to upojny zawrót głowy, przewyższający jeszcze rozkosz, jaką dawał jej Manlay. Jej psychika reagowała podobnie jak ciało. Do tajemnicy doszło jeszcze niebezpieczeństwo. W jaki sposób jej ciało i dusza stały się tak nieprawdopodobnie uzależnione od tego człowieka, o którym nic nie wiedziała, którego zainteresowania wydawały się tak bardzo odległe od jej własnych? Człowieka, który z przerażającą łatwością zabił dwóch ludzi, jakby chodziło o rzecz równie codzienną i banalną jak jakiś produkt społeczeństwa konsumpcyjnego leżący na jednej z półek supermarketu, na przykład papier toaletowy czy pudełko ajaxu. Jakże doszło do tego, że ona, wychowana na filozofii, dumna ze swych talentów, chwalona przez ludzi sobie równych, bez walki opuszczała świat, w którym z taką łatwością poruszała się dotychczas, by skoncentrować się jedynie na okolicach swego podbrzusza? Wszystko to przez tego człowieka, przez jakieś fluidy emanujące z jego osobowości, przez to, że jest dla niej zagadką. Huśtawka wzbijała się na wyżyny, które dotychczas wydawały się jej nieosiągalne. Niebo było czyste, bezchmurne. Wstrzymała oddech. Coś zaraz trzaśnie, nie ulega wątpliwości. Niemożliwe by sznury to wytrzymały. Miała wrażenie, że jej serce

zaraz pęknie jak zatkany tłumik. Jej brzuch unosił się ulegając potężnej sile, jaka nim owładnęła, sile prawie nie do zniesienia. Nie potrafiła się jej oprzeć niczym twierdza, która padła po szlachetnej walce. Dyszała cichutko, oddech uwiązał jej w gardle. Trochę przestraszona przypomniała sobie o atakach astmy, które mogły położyć kres pięknemu dziełu, jakie budowali wspólnie z Manlayem. Myśleć o astmie - to za mało romantyczne w momencie cudownej ekstazy.

Kiedy zalała ją rozkosz, z jej ust wydarł się straszliwy krzyk, który zbudził Justina w sąsiedniej grocie.

- Kontrwywiad? - zdziwił się podpułkownik Gar-dinot wbijając oczy w mapę, którą pokazał mu Sancerre. - A ci ludzie z panem, to kto?

- Pracownicy Służby - wymijająco odpowiedział agent wywiadu. - Nie ma po co ich legitymować, nie mają żadnych papierów. Zawsze tak robimy, gdy jedziemy na wykonanie zadania. Wymaga tego nasz wewnętrzny regulamin. Dowódca grupy, w tym wypadku ja, jest jedyną osobą upoważnioną do okazywania dowodu tożsamości. W tym samym kierunku idą polecenia nowego sekretarza stanu do spraw bezpieczeństwa publicznego. Z powodu kłopotów,

jakie miał Broussard na Korsyce. Po prostu nie wolno nam.

- Interesujecie się człowiekiem z owczarni?

- Tak.

- Z jakich powodów?

- Tajemnica Ministerstwa Obrony Narodowej.

- Jak się nazywa?

Niespieszony Sancerre na oczekaniu podał parę najbardziej fantazyjnych nazwisk, jakie mu przysły do głowy, po czym stwierdził:

- Wy także go poszukujecie?

Gardinot, który nie czuł najmniejszej sympatii do tajnych agentów, nie mógł powstrzymać się od szyderstwa:

- Niekoniecznie. Niewykluczone, że już go mamy, ale jeśli tak rzeczywiście jest, to pod postacią trupa.

Sancerre podskoczył.

- Trupa?

Znowu poczuł na skroniach przerażający powiew katastrofy. To sprawka Smantowa, nie ulega wątpliwości. Zabił Manlaya i wszedł w posiadanie fotografii. Koniec świata. Generał nigdy mu tego nie wybaczy. Może zamiast tracić czas na skontaktowanie się z Viellebois z pominięciem drogi służbowej, powinien popędzić do Ardeche, bo wówczas Smantow nie zdobyłby nad nim przewagi? Wszystko to prawda, ale generał mógłby potem opacznie to zrozumieć i uznać za wstęp do szantażu.

Nie, zważywszy wszystko, postąpił dobrze.

- Interesujący was facet jest może jedną z ofiar szaleńca. Nie zależliśmy żadnych

dokumentów - wyjaśniał Gardinot. - Żadnych dowodów tożsamości poza papierami kobiety, a ona znikła. ~ Florence Dumont?

- Tak. Z zawodu profesor filozofii.

Sancerre nic już nie rozumiał. Profesor filozofii? Co wspólnego może mieć Manlay z osobą tej profesji? To nie w jego stylu. Jakaś pasjonaria terroru, zgoda, ale nie profesor filozofii. Manlay nie był typem intelektualisty.

Generał zakaszłał za jego plecami.

- Panie pułkowniku...

Co za słodziutki ton! Sancerre o mało nie wybuchnął śmiechem. Bawiła go hipokryzja Viellebois: w hierarchii miał stopień wyższy niż podpułkownik żandarmerii, więc słowo „pan” było zbędne. Jednak użył go dla kamuflażu, z odrobiną unizoności na dodatek. W gruncie rzeczy była to wyśmienita zagrywka. Generał był jak mówiono, równie dobrym dyplomata co żołnierzem. Zresztą człowiek o takiej przeszłości musiał być mistrzem dyplomacji, jeśli po 10 maja 1981 roku dostał nominację na głównego szefa francuskiego kontrwywiadu. Trzeba przyznać, że to nie lada wyczyn. Ekwilibrystyka wyższego rzędu. Jean Richard na pewno zaangażowałby go do swego cyrku, by popisami na trapezie wywoływał entuzjazm tłumów.

Gardinot z żalem zwrócił Sancerre'owi mapę Służby z ukośnie bieżącym paskiem w narodowych barwach,



- Tak? - powiedział zachęcająco.
- Może poszlibyśmy rzucić okiem na te  
zwłoki? - podsunął generał.

## Rozdział 14

Dziewczyna była młoda, ładna, powabna. I posągowa. Manlay porównywał ją w myślach do Cyd Charisse, olśniewającej partnerki Freda Astaire'a i Gene'a Kelly. Nie miała oczywiście tanecznych talentów hollywoodzkiej aktorki, mimo że jej nogi, na które pozwalała napatrzeć się do woli Manlayowi, kiedy podchodziła do drzwi piekarni, mogłaby urodą rywalizować z nogami, jakie publiczność podziwiała na ekranie, w filmach takich jak *Wszyscy na scenę czy Piękność z Moskwy*.

- Niech mnie diabli! - krzyknął na jej widok Garcia, Francuz z Algierii, ale klasa kobitka!

- Coś mi się zdaje, że wpadłeś jej w oko! - szepnął Manlayowi do ucha Engelmann ze swym silnym niemieckim akcentem. Tylko Węgier Sarozyi nie zareagował. Dziewczyna go nie obchodziła i nawet nie patrzył w stronę sklepu.

Obsługując klientów, pochylała się w oknie wystawowym i łąpatką do ciasta nakładała do kartonowego pudełka ptysie z kremem, kruche babeczki, tort rumowy albo placek z brzoskwiniami. Kiedy się poruszała, różowy fartuszek oblepiał dwie olbrzymie piersi, które Garcia porównywał do arbuzów ze swej ojczystej Algierii. Czasem stawała nieruchomo i bez żenady wbijała wzrok w Manlaya stojącego na chodniku o trzy kroki od furgonetki.

Tak, dziewczyna była kąskiem nie do pogardzenia, ale tego dnia Manlay miał na głowie inne kłopoty niż podrywanie kogokolwiek. Zresztą gdyby nie to, że na polecenie Manlaya wszyscy czterej (Engelmann, Sarozyi, Garcia i on sam)

ucharakteryzowali się tak, że rodzona matka by ich nie poznała, zainteresowanie dziewczyny mogłoby później wyjść im bokiem. Kiedy już będzie po wszystkim, policja może się zabrać za przesłuchiwanie świadków. Niezależnie od faktu, że ich pamięć jest zawsze zawodna, podane rysopisy uczestników wydarzeń i tak byłyby nieprawdziwe z uwagi na charakterystykę całkowicie zmieniającą ich wygląd.

- Idę się rozejrzeć - rzekł Manlay.

- Co robi ten patałach?

Manlay wsunął głowę do furgonetki i zobaczył, co się dzieje w środku. Zatopiony w myślach Węgier machinalnie głaskał kolbę karabinu maszynowego.

- Mam dość czekania.

- To już nie powinno potrwać długo.

Manlay też miał dość czekania. Absolutnie musiał się czymś zająć, upewnić się, że wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Nawet absolwenci politechniki popełniają błędy. Odsunął się od furgonetki. Engelmann bez cienia nerwowości spokojnie palił gauloise'a z filtrem. Jak wówczas, gdy jako żołnierz Pierwszego Pułku Spadochronowego Legii Cudzoziemskiej (z którego zdezerterował po kwietniowym

puczu w 1961 roku) czekał w helikopterze, by go zrzucono na miejsce zasadzki. Dziś również zastawili zasadzkę, a on brał w niej udział. Jego niebieskie oczy napotkały spojrzenie Manlaya.

- Cholera, mógłby się trochę pośpieszyć!  
Zesrać się tu można!

- To już nie powinno potrwać długo -  
powtórzył Manlay.

Ostatni raz obrzucił dziewczynę podobną do Cyd Charisse i oddalił się od furgonetki. Po pasach przeszedł na drugą stronę alei de la Liberation i dał parę kroków w ulicę du Bois. Tam spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta pięćdziesiąt. Był poniedziałek, 20 sierpnia 1962 roku. Dzień zaczynał chylić się ku zachodowi.

Porucznik de La Tournay nerwowo bębnił palcami po kierownicy swego *ID 19*. Obok niego repatriant z Algierii, Watin przezywany Kulasem. Na tylnym siedzeniu Prevost. Manlay wiedział, że wszyscy trzej mają ukryte pistolety maszynowe.

Jego spojrzenie zlustrowało samochód, a potem przeniosło się na zaparkowanego za nim jasno-granatowego *peugeot 403*. Zobaczył tam Condego, szefa grupy oraz dwóch przydzielonych mu ludzi, Magade'a i Bertina. Cała trójka była również uzbrojona w pistolety maszynowe.

Wydawało się, że od tej strony wszystko jest w największym porządku. Manlay nie dowodził całą operacją, a jedynie grupą, do której należeli repatriant z Afryki, Węgier i Niemiec, chciał się jednak upewnić, czy wszystko jest w porządku, podobnie jak to robił w czasach wojny algierskiej.

Aleją de la Liberation, która się tak nazywa w Petit-Clamart, bo w rzeczywistości jest to droga publiczna nr 306, poszedł w kierunku Paryża.

Nieco dalej, po lewej stronie przyczała się pierwsza furgonetka, z której powinien paść pierwszy strzał. Dokładnie na wprost stacji benzynowej An-tara. Manlay zobaczył Serge'a Berniera; stał koło drzwiczek od strony pasażera. Za kierownicą jeszcze jeden Węgier, Lajos Marton. W środku - drugi w tej grupie Węgier, Gyula Sari i Gerard Buisines, as w strzelaniu z karabinu maszynowego, snajper, podobnie jak Engelmann - dezerterski z Legii Cudzoziemskiej. Na znak dany przez Serge'a, siedzący na miejscu kierowcy Marton miał mu podać pistolet maszynowy. Z punktu widzenia logistyki - z żalem myślał Manlay - nasz dramat polega na tym, że nie wszyscy mają karabiny maszynowe, a jedynie pistolety maszynowe, broń niezbyt celną na większe odległości.

Na chodnikach nie było dużego tłoku. Przecież to sierpień, ludzie wyjechali na wakacje i opalają się teraz na plażach. Paryż i jego peryferie bardzo się wyludniły. Temperatura była wysoka, męcząca, powietrze pełne kurzu i spalin. Pracownik stacji benzynowej Antara poruszał się w zwolnionym tempie, z trudem dobijał do końca długiego dnia pracy. Na chodniku jakaś dziewczynka grała w klasy. Wiek sklepów było pozamykanych. Tylko w oknie wystawowym kwaciarni omdlewały róże.

Dzień się kończył.

Manlay kontynuował obchód. Kilkaset metrów dalej stał Jean-Marie Bastien-Thiry. Pod pachą trzy-

mał złożoną gazetę *Aurorę*. Rozglądał się dokoła. Na widok Manlaya wpadł w złość i zbeształ go:

- Dlaczego zszedł pan ze stanowiska?
- Chciałem się upewnić czy wszystko jest w porządku.

- Nasz cel pojawi się lada moment.
- Jest pan pewien?
- Oczywiście.
- To nasza ósma próba. Wszystkie spaliły na panewce; także ta podjęta dzisiejszego ranka.

W głosie Manlaya zabrzmiało zniechęcenie. Bastien-Thiry zmienił ton. Jego głos złagodniał, był pełen zrozumienia.

- Ale tym razem się uda. Zapewniam pana. Proszę szybko wracać na stanowisko. Została nam jeszcze minuta, może dwie.

Manlay nie oponował i szybko wrócił do drugiej furgonetki.

- No i co? - spytał Garcia.
- Wszyscy na stanowiska bojowe - rozkazał Manlay. - Cel się zbliża.

W piekarni przy tacy ciastek z kremem kawowym dziewczyna podobna do Cyd Charisse coś robiła.

Manlay odliczał sekundy. Kiedy był przy czterdziestej siódmej, usłyszał pierwszą serię z karabinu maszynowego, jaką oddał Gerard Buisines. Potem zobaczył, jak aleją de la Liberation pędzi czarny *DS* o numerze rejestracyjnym 5249 HU 75, którym jechał na lotnisko w Villacoublay prezydent Republiki, Charles de Gaulle.

Potem na spust pistoletu maszynowego nacisnął Serge Bernier, a w ślad za nim Wattin i Prevost.

- Ognia! - rozkazał Manlay chwytając mat-a 49.

Saroyi wyciągnął browna automatic-rifle'a i podobnie jak Manlay i Egelmann wziął na cel samochód, który pod gradem kul zakosami pędził na złamanie karku drogą 306. tymczasem Garcia uruchomił silnik furgonetki. Zgodnie z rozkazem pułkownika Bastiena-Thiry'ego, w razie gdyby zamach się nie udał, nie wolno dać się złapać, bo przecież będą musieli spróbować jeszcze raz.

Kule przecinały ciężkie powietrze letniego zmierzchu, rozszedł się zapach prochu. Prezydencki DS drżał, dygotał, czał pod uderzeniami pocisków, ale prowadzony ręką artysty z niezmaconym spokojem, podskakując na przedziurawionych oponach wy dostał się z zasadzki i mknął ku Villacoublay osłaniany ogniem z przyklejonego do jego tylniego zderzaka samochodu eskorty.

- Spartaczyliśmy! - złorzeczył Garcia. Ten pata-: łach jeszcze raz wymknął nam się z rąk,

- Może nie żyje? - starał się go pocieszyć Saroyi, zdejmując palec ze spustu.

- Wiejemy - zdecydował Manlay.

Wrzucił swój pm do środka furgonetki i wdrapał] się na siedzenie obok kierowcy, podczas gdy repa-j triant z Algierii z wściekłością wyprowadzał pojazd] z miejsca, gdzie był zaparkowany, a Engelmanni szybko zamykał tylne drzwi.

Dziewczyna podobna do Cyd Charisse

wybiegła na chodnik; oczy miała okrągłe ze zdumienia a ręce w kremie z rozgniecionych ciastek.



Manlay obudził się zlany potem. Boże święty, dlaczego ten sen, który od dwudziestu lat co jakiś czas powracał i dręczył go podczas niespokojnych nocy, przyśnił mu się akurat dzisiaj? Prawdopodobnie przypadek - tłumaczył sobie.

Nie mogli dopełnić zemsty na szefie państwa. Wkrótce potem Bastien-Thiry, de La Tocquenaye, Prevost, Buisines, Berlin, Magade, Sari i parę płotek, których nie było w Petit-Clamart, zostali zatrzymani i osądzeni. Wszystkim innym udało się zbiec. Niektórych, w tym Manlaya, Egelmanna, Saroczyiego, Garcii oraz kilku innych nawet nie zidentyfikowano. Nastąpiło to dopiero wiele lat później. Pułkownik Bastien-Thiry został rozstrzelany 11 marca 1963 roku w Forcie Ivry, mimo że w zamachu nikt nie zginął.

Zanim Manlay zdecydował się przedostać do przychylnej im Hiszpanii, przez wiele miesięcy ukrywał się wraz z trzema członkami swej ekipy, nawet po zakończeniu procesu zamachowców z Petit-Clamart. Kiedy próbowali przejść do Hiszpanii przez zieloną granicę, zauważyli ich żandarmi i bez ostrzeżenia otworzyli ogień. Sarozyi zginął na miejscu. On, który podobnie jak Varga; Sari i Marton, pozostali Węgrzy ze szwadronu mścicieli, uniknął krwawych, sowieckich represji w Budapeszcie w 1956 roku, kiedy lud powstał przeciwko ciemnościom, teraz zginął głupio od kul francuskich żandarmów.

Engelmann zaczął się ostrzeliwać i zabił dwóch żandarmów. Ich śmierć przypisano Manlayowi, gdyż zidentyfikowano tylko Sarozyiego i jego. Sprawę osądzono w 1964 roku i Manlaya zaocznie skazano

na śmierć. Nie objęło go więc jeszcze przedawnienie i w każdej chwili mógł zostać aresztowany. Natomiast Garcia i Engelmann wyemigrowali do Ameryki Południowej i przepadli na zawsze.

Manlay żałował tylko tego, że zamach z 20 sierpnia skończył się fiaskiem. Gdyby przynajmniej ofiara Bastiena-Thiery'ego, który zginął od kul plutonu egzekucyjnego, została opłacona śmiercią tamtego! Ale wszystko to należało do zamierchłej przeszłości. Od tamtych wydarzeń upłynęło dwadzieścia lat. Żadna nienawiść w sercu normalnej istoty nie oprze się działaniu czasu. Manlay nie był wyjątkiem. Dawne emocje wygasły, stępiły się jak nożyczki, których już się nie ostrzy, rozpuściły się jak w kwaśnej kąpieli. Pozostały tylko obsesyjne wspomnienia, które dręczyły go podczas snu albo po przebudzeniu z koszmarów takich jak dzisiejszy.

Obracając się dotknął uśpionego ciała Florence. Tak, wszystko to należy już do zamierchłej przeszłości. Życie jest tutaj, tuż obok niego, ciepłe, miłe, przychylne, wychodzące naprzeciw jego pragnieniom. Mocno przytulił do siebie młodą kobietę.

Obudziła się, chętna jak zawsze.

## Rozdział 15

Chłód panujący w kostnicy szpitala w Privas stanowił miły kontrast z upalną atmosferą tej letniej nocy. Kierownik kostnicy rozpaczliwie ziewał. Pewnie rzadko przeszkadzają mu o tak późnej porze - doszedł do wniosku Sancerre. Kierownik nacisnął na jakiś guzik, kłapa zamykająca szafę opuściła się i po rolkach cicho wysunęła się metalowa płyta. Sancerre podszedł bliżej. Zamrugał uspokojony. Rozpoznał zwłoki jednego z agentów służby operacyjnej KGB we Francji. Nie znano jego prawdziwej tożsamości, więc kontrwywiad ochrzcił go imieniem Katyliina. Obecnie w Służbie panowała moda na imiona pochodzenia łacińskiego.

- No i co? - spytał podpułkownik Gardinot.

- To nie on - odparł Sancerre.

- A tego pan zna? - nalegał oficer żandarmerii.

- Nie - skłamał agent kontrwywiadu. Generał zapalił jedno ze swych cygar i wydawało się, że kompletnie się wyłączył. Wspaniały aktor, podziwiał Sancerre.

-Następny - polecił Gardinot kierownikowi Kostnicy, który uruchomił mechanizm wsuwający płytę na miejsce, a potem przycisnął drugi guzik.

Sancerre podszedł do następnych zwłok. Znow wesoło się uśmiechnął: kolejny członek służby operacyjnej KGB. Tego nazywano Krassusem, co było bezpośrednią aluzją do jego niechlujnego wyglądu.

- To on? - spytał Gardinot.

- Nie.

- Jego również pan nie zna?

- Rzeczywiście.

Oficer żandarmerii zmarszczył brwi. Obaj faceci wcale mu się nie podobali. Czy przypadkiem go nie nabierają? Ale jak się o tym przekonać? Tym bardziej, że trzeba postępować z nimi w rękawiczkach. Tacy rozmawiają bezpośrednio z ministrem obrony narodowej, a może nawet z samym prezydentem Republiki. Mają silne zaplecze polityczne. Jego natomiast przeniesiono z Korsyki, bo nie wykazał się dostatecznymi rezultatami. Gdzie mu do nich! Wniosek: musi zachować najwyższą ostrożność. Przecież nie znalazł się nawet na liście oficerów przewidzianych do awansu na stopień pułkownika.

Generał ćmił cygaro i niewidzącym wzrokiem patrzył na etykietkę przyczepioną do dużego palca lewej nogi trupa. Figurowała na niej data znalezienia zwłok i wzmianka: Nieznany. Kierownik kostnicy podszedł do niego, pociągnął go za rękaw i wskazał na zawieszony na ścianie plakat z napisem: „palenie

\* W jęz. fr. Crassus, co kojarzy się z przymiotnikiem „crasse” - brudny, niechlujny. (Przyp. tłum.).

wzbronione”. Generał gwałtownie odepchnął go, wzdrygnął się z obrzydzeniem i warknął:

- Jakim prawem pan mnie dotyka?

No, no, odnajduję mojego Viellebois, pomyślał uspokojony Sancerre i żywo chwycił kierownika za ramię.

- Niech pan nam lepiej pokaże trzeciego ze swych dzisiejszych klientów.

~ Racja - potwierdził Gardinot, który był namiętnym palaczem - nie traćmy czasu na drobiazgi.

Krassus zniknął natychmiast w swym tymczasowym grobowcu. Na rolkach przytoczyła się trzecia płyta. Sancerre czekał z lękiem. Czy zobaczy twarz Manlaya? Serce waliło mu jak młotem. Poza tym woń cygara, które palił generał, nieprzyjemnie drażniła mu nozdrza. Jego zdaniem cygara straszliwie śmierdzą. Zrobiło mu się przez to całkiem sucho w ustach.

Uśmiechnął się radośnie. Tym razem był to Sertorius. Trzeci sowiecki spec od mokrej roboty. Odetchnął z ulgą. A więc prawdopodobnie Smantow nic nie wskórał. Jego trzech zbirów wystrzelano jak kaczki. Co tu gadać, Manlay nie wyszedł z wprawy. Dziwny facet. Kto wie, jak skończyłby się zamach w Petit-Clamart, gdyby to on, a nie Bastien-Thiry kierował akcją. Nie był wprawdzie absolwentem politechniki, ale miał talent do organizowania zasadzek. Smantow wiedział coś na ten temat. To dopiero klęska dla Rosjanina! Może zresztą jego też Manlay posłał na tamten świat, tylko żandarmi nie znaleźli jeszcze jego zwłok? Jeśli tak, byłoby to wielkie zwycięstwo Manlaya.

Smantow znokautowany! Ruscy zawsze uważali się za lepszych od reszty świata. Ta porażka powinna stać się dla Smantowa nauczka i lekcją pokory.

- Dlaczego nic pan nie mówi? - niecierpliwi! się Gardinot.

- Nie znam go.

Generał rzucił cygaro na podłogę i obcasem rozgniół je na kafelkach.

- Nie zna pan żadnego z tej trójki?

- Żadnego - potwierdził Sancerre.

- Dziwne - mruknął Gardinot pod nosem. -

Zastanawiam się teraz, czy to rzeczywiście Lafaure jest sprawcą tej jatki.

- Któż inny mógłby to zrobić? - obłudnie wtrącił Sancerre.

- Nie ulega wątpliwości, że zginęli od kul wystrzelonych z karabinu kaliber 30, a może z winchestera... - ciągnął oficer żandarmerii. - W okresie nie-! mieckiej okupacji, w latach 1940-1944, dużo broni tego typu zrzucano partyzantom w Ardeche, a po wyzwoleniu nikt jej nigdy nikomu nie odebrał...

- Pański wariat - powiedział z naciskiem generał - posługuje się karabinem, z którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zabito trzech ludzi. Po co szukać dalej? To zbrodnia bez motywu. Dzieło szaleńca. Sprawa jest jasna jak słońce. Sądzę, że szukając innej hipotezy, niepotrzebnie komplikuje pan sobie życie.

- My, żandarmi, działamy na oczach społeczeństwa - odparował sucho Gardinot. - Nie możemy zlekceważyć żadnego tropu.

Właśnie wówczas do pomieszczenia wszedł major Frapier.

- Niedaleko owczarni patrol znalazł porzuconego *renaulta* - zakomunikował. - Jego dowódca pozwolił sobie wyważyć drzwiczki. W środku, w skrytce na rękawiczki, znalazł papiery należące do pracowników ambasady ZSRR w Paryżu. Są kierowcami...

Sancerre nie mógł powstrzymać szyderstwa, które cisnęło mu się na usta.

- Kierowcami?

Normalna przykrywka Ruskich.

Gardinot obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Sowietci na tym odludziu? Wyczuł nosem zapach agentury. Teraz miał już pewność, że go nabierają. Jest oczywiście Lafaure, ale gdzieś obok istnieje jakaś inna sprawa, w którą są zamieszani tajni agenci o budzącym niepokój wyrazie twarzy. Uwaga, teren zaminowany; każdy krok grozi niebezpieczeństwem. Musi udawać, że bierze ich słowa za dobrą monetę. Grać idiotę, nierozgarniętego żandarma, prowincjonalnego głupka. Dotychczas okazywał zbytnią pewność siebie. Trzeba zmienić taktykę.

- Co robimy teraz, panowie? - spytał, jakby czekając na ich rozkazy.

Sancerre odpowiedział mu nie od razu. Jeśli Manlay jest zdrow i cały, gdzie się ukrywa? Może u kobiety, o której napomknął żandarm? Tej Florence Dumont? Czy wiadomo o niej coś więcej poza tym, że uczy w liceum?

- Niech mi pan opowie o tej Florence Dumont - zwrócił się do Gardinota, odnotowując jego nagłą

zmianę tonu.



## Rozdział 16

Świt nieśmiało wypełził na niebo. Była to dobra pora, ulubiona pora wojskowych. Smantow poruszył się. Atakować trzeba o świcie, kiedy wróg jest jeszcze zamroczony snem. A także dlatego, że widoczność staje się wtedy nieco lepsza. Smantow przypomniał sobie fragment *Balu potępieńców* Irwina Showa, który przeczytał w San Francisco, kiedy ukrywał się przed akcją sabotażową w jednym z amerykańskich ośrodków atomowych. Show pisał o cierpliwości pewnego niemieckiego oficera w Libii podczas drugiej wojny światowej. Faszysta czekał, aż po pobudce brytyjscy żołnierze pójda wypróżnić się za obóz; chciał ich załatwić ze spuszczoneymi spodniami i bez broni. To była straszliwa masakra.

Ruszył ku grotom.

W nocy sen zaczynał podstępnie kleić mu oczy, ale mu się nie dał dzięki pewnemu staremu sposobowi, jakiego nauczył swych podopiecznych jeden z wykładowców w szkole KGB. W podobnych przypadkach radził im żuć trawę albo liście, gdyż - jak twierdził - chlorofil posiada właściwości rozbudzające. Chyba miał rację, bo Smantowowi przeszła

wszelka ochota na spanie. Czuł się dobrze, był spokojny, odprężony, pogodny, zdecydowany na wszystko. Orzeł albo reszka. Musi pójść na całość. Podczas tej długiej nocy liczył się z rym, że może zginąć. Był tego absolutnie świadom. Wszystko było lepsze od syberyjskiego łagru, w którym wylądował Grigorenko.

Wielkimi krokami szedł przez rumowisko pokruszonych skał zerodowanych przez czas. Wreszcie dotarł do jakiejś polanki pełnej śpiących baranów, które wcale się nie przestraszyły na jego widok. W przelocie pogłaskał głowę jakiejś owieczki. Zwierzęta przypomniały mu dzieciństwo spędzone na wsi, zanim partia nie podała mu ręki i nie pomogła zdobyć zajmowanej obecnie pozycji. Wydawała się ona wszakże mocno zagrożona, jeśli nie uda mu się zdobyć fotografii, na której tak bardzo zależy Moskwie.

Obszedł zwierzęta, które spały przytulone do siebie, jak nakazywał im odwieczny instynkt stadny.

W prawej ręce ścisnął kolbę jednego z tokarewów.

Wstawał poranek, w jego świetle rozbliły na trawie rój kropelek rosy. Rozwidniało się szybko, szybciej niż przewidywał. Uświadomił sobie, że żyjąc tyle lat w mieście, stracił kontakt z przyrodą. Dzisiejszy powrót do źródeł byłby cudowny, gdyby nie niepokoił się tak bardzo, że jego misja może się nie powieść.

Teraz schodził po zboczu. Na jego lewym ramieniu kołysała się torba plażowa. Pomyślał o samochodzie. Czy żandarmi znaleźli go i czy wzbudził ich zainteresowanie? W schowku na rękawiczki zostawili niestety swoje dokumenty.

Jednak nie trzeba się tym zbytnio przejmować. Jakoś się to załatwi: Suropatkin zawsze potrafi zrobić wodę z mózgu Francuzom. Zresztą, jak wiadomo, żabojady czują respekt przed Rosjanami i boją się, że może dojść do jakiegoś incydentu dyplomatycznego. Mięczaki. Pewnego dnia ZSRR zajmie całą Europę Zachodnią i nauczy rozumu potomków dzielnych Gallów, którzy dzisiaj popadli w dekadencję. Szedł stromym zboczem. Pod stopami czuł skamieniałą ziemię. Na pewno od tygodni nie spadła tu kropla deszczu. Skręcił w kierunku grot i nagle stanął twarzą w twarz z pasterzem. Justin wstał o świcie, by zobaczyć, co robi jego stado, a potem poszukać zagubionej kozy. Na widok nieznanego mężczyzny z pistoletem w ręku zeszywniał i stanął jak wryty. Lękał się nie o siebie, lecz o Manlaya i jego towarzyszkę, uroczą Florence, którą polubił od pierwszego wejrzenia.

- Czego pan chce - rzekł ostro, żałując, że nie wziął ze sobą myśliwskiej strzelby.

Będzie mi tylko zawadzał - pomyślał Smantow. - Trzeba go sprzątnąć. Bez chwili wahania nacisnął spust tokarewa. Tłumik wyciszył dźwięk strzału. Justin padł na skałę, wstał, a wreszcie ciężko osunął się na wyschniętą ziemię, która zaczęła łączywie pić jego krew. Jego patriarchalna broda zaplątała się w kolczasty krzew i został już tak, patrząc rozwartymi oczami na rozjaśniające się coraz bardziej niebo.

Smantow przeskoczył przez trupa, zaprzątnięty już czymś innym. Ludzie, których zabił podczas swej długiej kariery, przestawali dla niego istnieć, więc

także ten człowiek nie będzie mu sprawiał żadnych metafizycznych problemów.

Dotarł do wejścia do grot trzymając wycelowany przed sobą pistolet. Pozbycie się pasterza było pierwszym sukcesem i natchnęło go otuchą. Jeszcze trochę wysiłku i osiągnie swój cel.

Wszedł do groty. Była pusta. Nieufnie pociągnął nosem. Nie, nikogo tu nie było. Uważnie rozejrzał się dokoła. W dzbanku zostało jeszcze trochę ciepłej kawy. Wypił ją nie szukając nawet cukru, mimo że nienawidził gorzkiej kawy. Maszynka do gotowania też była jeszcze gorąca.

Nie rezygnując z dalszych poszukiwań zapuścił się w ciemny, wąski korytarz. Trochę przeszkadzała mu torba plażowa, bo musiał posuwać się po omacku. Nagle dostrzegł światło. Wszedł do następnej groty. W jej sklepieniu znajdował się komin wychodzący na otwarte niebo; tędy dostawało się światło niczym długi walec białej wary. Na ziemi spało obok siebie dwoje ludzi połączonych uściskiem. Smantowa zupełnie nie wzruszył ten romantyczny obrazek.

Podszedł bliżej, poznał Manlaya i rozejrzał się w poszukiwaniu broni. Gdzie jest karabin, z którego Francuz zabił Walcowa, Streladze i Skina? Nie było go; nie było też tokarewa, którego on - sam zgubił w starej owczarni. Może Manlay ma go pod sobą? Cofnął się nieco i z całej siły kopnął Francuza w żebra, na wszelki wypadek trzymając wycelowany w niego pistolet. Brutalnie zbudzony Manlay usiadł; wyrwało to ze snu także Florence. Oboje przecierali oczy i patrzyli oniemiała na człowieka z wycelowaną w nich bronią.

-Położyć ręce na głowę i stanąć tam, po drugiej stronie - rozkazał szorstko Smantow i wymachując tokarewem wskazał na przeciwległą ścianę grotty.

Manlay i Florence, nadzy jak ich Pan Bóg stworzył, wykonali polecenie. Smantow patrzył z podziwem na cudownie wymodelowane kształty młodej kobiety. Piękny okaz - uznał. Ale nie była to pora na rozważania natury estetycznej.

Manlay przyglądał się twarzy człowieka, który w nich mierzył. Chyba nigdy go nie widział. A przecież znał facjaty terrorystów z *Prima Linea*, których rozpracowywała Brygada Antymafijna. Co to ma znaczyć? Nie miał najmniejszego pojęcia. Obok niego Florence dygotała z zimna i strachu, który ją ściał niby lodem. Usiłował uśmiechnąć się, by dodać jej odwagi.

Smantow czubkiem stopy odsunął koce, jakie pożyczył im Justin, lecz nie znalazł pod nimi zgubionego przez siebie pistoletu. Potem zaczął je deptać, ale nie poczuł nic pod podeszwą. Oparł się o skałę, przez parę sekund patrzył na skurczoną twarz Manlaya i przystąpił do rzeczy:

- Szukam pewnej fotografii. Manlay spojrział na niego osłupiały.

- Fotografii? - powtórzył niepewnym głosem. Czuł, że coraz mniej rozumie.

- Fotografii, którą pan pokazał. Dagueyre'owi, no wie pan temu dziennikarzowi.

A więc to jednak on mnie sprzedał, uświadomił sobie Manlay. Ale dlaczego? Dla kogo pracował? Czego właściwie chce od niego ten człowiek? Nawet

nie pamiętał, że pokazywał Dagueyre'owi jakąś fotografię. Z ust mu się wyrwało pytanie:

- Co to za fotografia?

Albo Manlay blefuje - doszedł do wniosku Smantow, albo – jak już wcześniej przypuszczał - nie ma zielonego pojęcia o wartości zdjęcia; ostatecznie nie można tego wykluczyć, bo przecież nie musi wiedzieć, kim jest druga z osób figurujących na fotografii. No cóż, trzeba zastosować wobec Manlaya starą zasadę, że wątpliwości rozstrzyga się na korzyść obwinionego. Dlatego wyjaśnił:

- W lecie 1962 roku był pan w osobistej obstawie Jean-Marie Bastiena-Thiry'ego, któremu to warzyszył pan podczas potajemnych spotkań z przedstawicielami O.A.S zarówno z Algierii, jak i z siatki metropolitalnej. Na prośbę Bastiena-Thiryego bardzo często robił pan po cichu zdjęcia ludzi, z którymi się widywał. Niewątpliwie był to środek

bezpieczeństwa oraz gwarancja na przyszłość. Niektórych ze swych rozmówców Bastien-Thiry nie znał i prawdopodobnie miał się na baczności. Słusznie zresztą, bo kiedy się pracuje w podziemiu i przygotowuje spiszek na życie szefa państwa, należy stosować możliwie najwięcej środków ostrożności. Jedną spośród zrobionych przez pana i zachowanych fotografii interesuje mnie szczególnie...

Nagle Manlay przypomniał sobie. Oczywiście postąpił jak osioł! Pokazał wszystkie swoje zdjęcia Dagueyre'owi. Od kiedy poznał Florence, wiele rzeczy wyleciało mu z głowy. Jak ten szczegół mógł się zatrzeć w jego pamięci? Fotografie, jakie pokazał dziennikarzowi, należały

do zamkniętego okresu historii. Uznał, że nie mają żadnego znaczenia. Wprawdzie figurował na nich Bastien-Thiry w towarzystwie Bougreneta de LaTocnaye'a, Prevosta, Buisinesa, Martona, Sariego oraz innych spiskowców skazanych w procesie zamachowców z Petit-Clamart, ale przecież ich portrety tysiące razy publikowała prasa. Nie było na nich niczego sekretnego, niczego, co mogłoby zainteresować kogoś po upływie dwudziestu lat.

- Bastien-Thiry nie żyje - przypomniał.

- Wiem - odpowiedział Smantow - ale nie o niego chodzi. Niech odpoczywa w spokoju. Starał się zrobić coś, co było zgodne z jego przekonaniami, przypłacił to życiem, ma prawo do naszego szacunku.

Z rozmysłem pochlebnie wyrażał się o przywódcy spisku. Nic go to nie kosztowało, a mogło przyspieszyć bieg wydarzeń.

- Kim pan jest? - chciał się dowiedzieć Manlay.

Umierał z ciekawości. Najprawdopodobniej wszystkie jego przypuszczenia są błędne. *PrimaLinea* nie miała nic wspólnego z tą sprawą. Kim jest człowiek interesujący się tak dawną historią? Z jakich powodów przywiązuje wagę do owych fotografii, które są świadkami na zawsze zamkniętej epoki, a także świadkami głośnej porażki? Do jakiej orientacji należy? Czy tokarew jest tu jakąś istotną wskazówką? Czy broń produkcji sowieckiej świadczy o tym, skąd przychodzi nieznajomy? Ale z pewnością nie jest szaleńcem, o którym wczoraj wieczorem mówiono przez radio. Zresztą tamten ma karabin. Poza tym mężczyzna jest podobny do

faceta, któremu wytrącił broń z ręki w owczarni. To bez wątplenia on. Krótko mówiąc, w celu zdobycia fotografii naślano na niego istny oddział komandosów. Musieli mieć jakiś ważny powód, ale jaki?

- Nieważne kim jestem - odpowiedział Smantow. - Tracimy tylko czas. Gdzie są pańskie fotografie?

- Dlaczego się pan nimi interesuje? - nie ustępował Manlay, który trzymał ręce na głowie i zaczynał odczuwać nieprzyjemny skurcz w lewym ramieniu.

- Gdzie są pańskie fotografie? - powtórzył Smantow z uporem.

Żałował, że połaskczył się na niesłodzoną kawę. Teraz jego żołądek protestował, męczyła go zgaga. Wiedział, że w takim wypadku należy coś zjeść, żeby zmniejszyć kwasy. Miał do siebie pretensję, że myśli o tak trzeciorzędnych rzeczach w chwili, gdy prawie osiągnął cel. Gdyby teraz Suropatkin mógł czytać w jego myślach, surowo by go zbeształ.

- Fotografie zostały w owczarni - skłamał Manlay.



## Rozdział 17

Koza gdzieś sobie poszła, więc Christian Lafaure nie mógł się posilić. Skrzywił się. Położył rękę na pokrytej rosą kolbie winchestera, a potem wstał i wykonał parę gimnastycznych ruchów, by rozluźnić obolałe mięśnie. Wprawdzie w nocy często się budził, ale był wypoczęty. Odczuwał tylko coraz silniejszy głód i pragnienie.

Koza na pewno nie żyła w pojedynkę, ale musiała należeć do stada. Jest więc jasne jak słońce, że trzeba je odszukać i wydoić następną. Przyszło mu do głowy jeszcze jedno: właściciel kóz musi mieć coś do jedzenia i picia. Gdyby czynił mu jakieś wstręty, użyje karabinu.

Podskakiwał w miejscu i zadawał sierpowe w próżnię niczym bokser, który właśnie wyszedł na ring. Czuł się dobrze. Nawet bardzo dobrze. Podniósł oczy ku bledniejącemu niebu: świtało. Zawsze lubił świt, zwłaszcza w lecie. W szpitalu psychiatrycznym nie mógł go oglądać, bo w jego pokoju zamykano okiennice. Miał strasznie za złe lekarzom, że pozbawili go tej przyjemności. Pewnego dnia, kiedy ścigająca go zgraja trochę się uspokoi, będzie musiał

odegrać się na personelu szpitala. Na pierwszy ogień pójda lekarze. Każdy dostanie kulę w łeb. Potem pielęgniarze. To samo. Na koniec pielęgniarki. Najbrzydsze - dokładnie to samo. Jeżeli chodzi o ładne, te, które odrzuciły jego zaloty, zgwałci je. Oczywiście wcale nie byle gdzie, ale na łóżku w pokoju, w którym tak strasznie cierpiał z powodu ich łajdackich neuroleptyków. A potem kula w łeb? Wykpiłyby się zbyt tanim kosztem. W brzuch. A raczej w podbrzusze. Tak, właśnie tak - w podbrzusze.

Wybuchnął śmiechem, a potem drgnął, bo usłyszał jakiś szelest w zaroślach. Szybko schylił się, chwycił winchestera i wycelował w kierunku krzaków, ale zaraz odprężył się. Jest za nerwowy. Prawdopodobnie to jakieś dzikie zwierzę. Może tchórz? Nie tchórze śmierdzą. Wyczułby go. A może jakiś inny lis, który wyszedł z nory? Jakże to ma Znaczenie?

Na szpital psychiatryczny przyjdzie czas później, kiedy przestaną go szukać. Tymczasem trzeba coś zjeść i ugasić pragnienie.

Ruszył w kierunku skalnego masywu, trzymając karabin w lewej ręce jak bohaterowie westernów, które oglądał w telewizji. W chwilach niebezpieczeństwa szybkim ruchem lewej ręki przerzucali karabin do prawej tak, by palec wskazujący trafił na spust: szybkie naciśnięcie, strzał. Mistrzem w tej dziedzinie był Steve MacQueen, ale nie ma go już, umarł na raka. Dlaczego wielkie gwiazdy Hollywoodu muszą w kwiecie wieku umierać na raka? Czy on także padnie w kwiecie wieku skoszony kulami żandarmów?

Nie ma mowy. Da im w dupę tak, że się nie pozbierają. Kula w łeb, nie, w podbrzusze, to świetny pomysł.

Na polanie zobaczył barany i owce, nie było natomiast kóz. Ciekawe, pomyślał, nie mam ochoty na owcze mleko.

Kluczył między zwierzętami, które budziły się ze snu pobekując. Od czasu do czasu spoglądał w niebo. Helikoptera nie było. Żandarmi muszą jeszcze spać. O której godzinie wstaje żandarm? Zaśmiał się szyderczo. Przez niego czeka ich jeszcze jeden dzień bez partyjki belotki.

Mało brakowało, a nie dostrzegłby trupa i wszedłby na niego. Przystanął zaskoczony. A to co znowu? Przyklęknął zaniepokojony, trzymając karabin pod lewym ramieniem. Nie ma wątpliwości, faceta załatwiono i to na fest. Odwrócił ciało nie zwracając uwagi na zaplątaną w kolczasty krzew brodę. Zobaczył otwory, którymi wyszły pociski. Zastrzelono go? - zdziwił się. Krew była jeszcze ciepła. Człowiek nie żył od bardzo niedawna. Czy szedł czymś tropem? A może to jego tropiono? Kto to był? Zaniepokoił się, bo nie znosił niewiadomego. Nieboszczyk wyglądał na pasterza. Prawdopodobnie to on doglądał stada baranów, owiec i kóz. Ale dlaczego go zabito? W jakich czasach żyjemy! Morduje się już nawet pasterzy!

Podniósł się nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć i niespokojnie rozglądał się dokoła, przerzuciwszy karabin do prawej ręki. Na razie nie ma mowy o udawaniu żadnego Steve'a MacQueena. Ale nic się nie działo: poranny spokój, beczenie baranów. Niebo, które z białego zaczynało zmieniać się na niebieskie. Zielona łąka.

Nieruchoma przyroda, która zdawała się wstrzymać oddech słysząc pierwsze, nieporadne słowa wstającego dnia. Jego spojrzenie zatrzymało się na grotach. Pasterz musiał przyjść stamtąd - doszedł do wniosku. I tam trzymał swoje zapasy, czyli to, czego mu trzeba. Człowiek ścigany przez żandarmów musi sobie podjąć, żeby dzielnie stawić im czoła!

No tak, ale jest przecież ten trup. Czy w grotach grozi mu jakieś niebezpieczeństwo? Może ukrył się w nich człowiek, który zabił pasterza?

Nie wiedział, jak postąpić. Jednak głód i pragnienie zwyciężyły. Po raz ostatni rozejrzył się wokół. Nic się nie działo. Sprawdził winchestera. Był gotów do strzału. Ostrożnie zaczął iść w kierunku grot.

- G.I.G.N./3 do bazy.

- Tu baza, słucham cię.

- Widzimy jakieś zwłoki. Znajdują się w pobliżu stada baranów i grot górujących nad parowem.

- Wasza pozycja?

- Pozycja 79. Jakies trzy kilometry na północny wschód. Na mapie groty są oznaczone jako Legowisko Jeleni. Jednak w okolicy nie zauważyliśmy żadnego jelenia. Tylko barany, parę kóz i te zwłoki, prawdopodobnie pasterza.

Podpułkownik Gardinot wziął mikrofon z rąk podoficera. Właśnie odnalazł wspomniane miejsce na swojej mapie.

-Namierzyliście dobrze. G.I.G.N. /3,  
zachowujcie się, jakbyście niczego nie zauważyli.  
Nie zostawajcie tam. Odlećcie dalej i czekajcie na  
moje rozkazy. My się tu zastanowimy.

Oddał mikrofon podoficerowi żandarmerii i  
zwrócił się do Sancerre'a i generała.

- Czy chodzi o człowieka poszukiwanego  
przez was, czy przeze mnie? Nic jeszcze nie  
możemy powiedzieć na ten temat. Kto go zabił?  
Lafaure? A może ktoś inny?

Generał zgasił cygaro, które zdążyło już  
zasmrodzić cały pokój.

- Najlepiej pojedźmy zobaczyć sami -  
poradził z życzliwym uśmiechem skierowanym  
jednocześnie do Gardinota i do Sancerre'a.

Christian Lafaure nie mógł powstrzymać  
uśmiechu radości. Jedzenie i picie! Ukłął i  
dotknął dzbanka do kawy. Był jeszcze ciepły.  
Zajrzał do środka. Pusto. Wzruszył ramionami.  
Zobaczył bukłak. Odkorkował go i powąchał.  
Wino. Wspaniale. Dalej leżała surowa szynka, a  
obok niej nóż i bochen chleba. Kawatek masła pod  
szklanym kloszem. Oparł winchestera o prawe  
udo, wziął nóż, ukroił grubą pajdę chleba,  
posmarował ją masłem, a na wierzchu położył  
plaster szynki. Zdziwił się na widok cynowego  
kubka. Cynowy kubek u pasterza? Zgoła rzadki  
przypadek. Nie zastanawiał się nad tym dłużej.  
Bardzo chciało mu się pić. Duszką wypił trzy  
kubki wina i poczuł, jak miłe ciepło rozlewa mu

się po żołądku, ale zarazem zaczyna mu się kręcić w głowie, która opada do przodu. Szybko wziął się w garść. Ugasił pragnienie. Teraz trzeba zaspokoić głód. Łapczywie wbił zęby w przygotowaną kanapkę. Już ją prawie kończył, kiedy usłyszał warkot helikoptera. Zesztywniał, przestał jeść, ale zaraz się uspokoił. Nie, nic mu nie grozi. W grotcie jest bezpieczny. Nikt go tu nie może zobaczyć. Boże drogi, a więc już wie, o której godzinie wstają żandarmi. Zdaje się, że wcześniej. Szkoda.

Ukroił sobie jeszcze jedną kromkę chleba i plaster szynki. Co za uczta! Chleb i wiejska szynka. Wino też pochodziło z tych stron. Pasterz znał się na tym. Zerknął w kierunku sera. Zaraz się nim zajmie, bo chyba nigdy nie naje się do syta. Warkot oddalił się, umilkł. Przekłęci żandarmi!

Kończył drugą kanapkę, kiedy usłyszał jakieś głosy i aż podskoczył. Odłożył niedojedzony chleb i nieco przestraszony chwycił winchestera. Głosy! Skąd dochodzą? Czy helikopter wysadził żandarmów? Stał jak skamieniały, cały zmieniony w słuch.

Po pewnym czasie zorientował się, że głosy dochodzą z wnętrza grot. Nazywano je Legowiskiem Jeleni. Dlaczego „jeleni”? Przecież w tych stronach nigdy nie było jeleni. Dziwne, skąd biorą się nazwy różnych miejsc. Kto tam może być? „Mordercy” pasterza? Oznaczało by to, że za jego plecami są jacyś uzbrojeni ludzie. To się może źle skończyć. Musi zabezpieczyć sobie tyły.

Wytrzeł ręce w ścierkę, wziął karabin, wstał i ostrożnie zaczął skradać się ku wnętrzu groty.

Panowały tam całkowite, nieprzeniknione ciemności, które spowijały wszystko niczym gruby, mroczny płaszcz. Podejrzliwie pociągał nosem. Jego wskazujący palec nie opuszczał spustu winchestera. Płuca usiłowały kontrolować oddech.

Wyszedł zza zakrętu i o mało nie krzyknął ze zdumienia. Jego oczom ukazało się przedziwne trio: zobaczył kobietę i mężczyznę, całkiem nagich, z rękami założonymi na głowę, i jeszcze jednego mężczyznę, który celował do nich z pistoletu wyposażonego w długi walec, taki sam jaki widywał w telewizji na kryminalnych lub szpiegowskich filmach. Urządzenie to nazywano tłumikiem. Miał wrażenie, że fikcja stała się rzeczywistością. Jakże daleko był Steve MacQueen!

Nie mógł oderwać wzroku od ciała kobiety. Świetna babka, aż mu pocięła ślinka. Cudownie zbudowana! Trochę mu przypominała Valerie, pielęgniarkę ze szpitala psychiatrycznego, która zawsze odrzucała jego awanse. Nie, co tu dużo gadać, ta jest jeszcze lepsza. Głód i pragnienie minęły jak ręką odjął. Natomiast poczuł pęcznienie w dole brzucha, co było tym bardziej zrozumiałe, że przez ten cholerny helikopter poprzedniego dnia nie mógł zakończyć miłosnych igraszek z kobietą z pomarańczowego namiotu. A to jest bardzo niewskazane dla zdrowia. Psycholodzy twierdzili wręcz, że się rzuca na głowę. Pewno mieli rację. Im dłużej patrzył na kobietę, tym twardszy stawał się jego penis. Boże święty, trzeba coś z tym zrobić do cholery. A właściwie dlaczego ten facet celuje do niej swoim tłumikiem? Musi być niewrażliwy na kobiecą urodę. Może jest pedałem? W każdym

razie najprawdopodobniej on zamordował pasterza.

Czuł, że ogarnia go gorąco i zaczyna tracić głowę, a we wnętrznościach wszystko aż mu kipi. Znał to aż za dobrze. Absolutnie musi przelecieć tę dziewczynę. Absolutnie. Bezwarunkowo. Tym bardziej, że okoliczności są nader sprzyjające. Tamci troje coś gadają o jakichś fotografiach. Chyba mają źle w głowie? Bładym świtem, z pistoletem w garści rozmawiać o fotografiach? Tak, pewno jacyś nienormalni. Nienormalni? Uwaga, nie lubi tego określenia. Zbyt wielu ludzi używało go w odniesieniu do niego. Chorzy. O, właśnie..Chorzy tak jak on. Jak on kiedyś. Bo teraz jest najzupełniej zdrów.

W porządku. Trzeba coś zrobić. Najpierw pozbyć się faceta ze spluwą. Podniósł winchestera i wziął go na muszkę.

W tym momencie Smantow dał krok do przodu i zszedł mu z linii strzału. Lafaure poczuł wściekłość. Czy ten łajdak coś zwąchał? Że też zawsze wszystko musi się przeciwko niemu sprzysiąc. Do jasnej cholery, co takiego uczynił Panu Bogu na wysokościach? Jeśli oczywiście istnieje, jak go zapewniały zakonnice w szpitalu psychiatrycznym.

Zawahał się. Steve MacQueen z telewizji nie miałby podobnych wątpliwości. Rzuciłby się do przodu i wypalił ze swego słynnego obrzynka. Tak, ale on nie jest Stevem MacQueenem. A jeśli się okaże że tamten gość znakomicie strzela ze swego pistoletu? Kto może mu zagwarantować, że nie okaże się szybszy i nie otworzy ognia, zanim on zdąży wyjść zza zakrętu i nacisnąć na spust swego winchestera?



Nagle do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Dlaczego po prostu nie miałby poczekać, aż tamten wejdzie mu na muszkę? Przecież wcześniej czy później musi to nastąpić. Tamci nie będą siedzieli w grocie do skończenia świata.

Sancerre wytężonym wzrokiem spoglądał w dół.

- Oto Legowisko Jeleni - poinformował go Gardinot.

Dla zabicia czasu zrobił im wykład na temat danych technicznych wiozącego ich helikoptera: *...S.A. 330 Puma rozwija szybkość 256 kilometrów na godzinę, czas przebywania w powietrzu dwie godziny pięćdziesiąt minut; główne łopatki wykonane są z odpornych na korozję materiałów kompozytowych; pojemność dwudziestu ludzi...* Wszystkie te szczegóły zupełnie nie interesowały ani Sancerre'a, ani generała, ani tym bardziej towarzyszących im gangsterów, którzy zgodnie z rozkazem zachowywali grobowe milczenie. Poza Gardinotem lecieli z nimi uzbrojeni po zęby żandarmi z G.I.G.N.

Sancerre pogрузił się w teoretycznych rozważaniach. Czy nowo odkryte zwłoki były zwłokami Smantowa? Kuszająca hipoteza. Gdyby okazało się, że to prawda, Manlay wyszedłby z próby zwycięsko. Groty stanowiły przecież idealną kryjówkę nie tylko dla jeleni, lecz także dla zbiega. Ale jednocześnie wpadł w potrzask. Ubiegłej nocy wspólnie z generałem i gangsterami gruntownie przeszukali owczarnię. Nie natrafili na żaden ślad fotografii. Manlay

musiał je zabrać z sobą, a to oznaczało, że (odwrotnie niż utrzymywał Dagueyre) zna ich wartość, a ściślej - wartość jednej z nich. Ale wobec tego po jakie licho pokazywał ją dziennikarzowi? Było to nielogiczne. Chyba że Manlay coś knuje. Sancerre nic już z tego wszystkiego nie rozumiał. Jedno było jasne: za wszelką cenę trzeba odnaleźć Manlaya.

Odwrócił głowę i spojrzął na generała. Miał pogodną, spokojną twarz, był rzeński jak ryba. Żadnych śladów bezsennej nocy. Ani cienia zarostu na brodzie. Nie do wiary. Ale najbardziej fantastyczna była jego samokontrola; niezwykle twardy facet. Jediną oznaką nerwowości było może jego wieczne cygaro, które zatruwało powietrze w helikopterze i od czasu do czasu przyprawiało Sancerre'a o kaszel.

Spostrzegłszy, że jest przedmiotem zainteresowania swego podwładnego generał spojrzął na niego życzliwym okiem, w którym pojawił się uspokajający błysk.

- Denerwuje się pan, prawda? - odezwał się dobrze postawionym głosem, który nie zdradzał odrobiny strachu.

Sancerre odchrząknął, a potem odpowiedział:

- Wydarzenia przybierają nieprzewidziany obrót. Na widok zniżającego się helikoptera barany i

owce rozpierzchły się wylęknione. Generał z lubością pociągnął dym z cygara.

- Musi pan wiedzieć, mój drogi, że przez całe życie wydarzenia zawsze przybierały obrót korzystny dla mnie.

Sancerre przypomniał sobie powody ich

bytności w tym miejscu i natychmiast przyznał  
całkowitą

rację generałowi. Gdyby było inaczej, jak wytłumaczyć jego błyskawiczną karierę mimo obciążonej zdradą przeszłości?

Helikopter osiadł na swych płozach i Gardinot nieco teatralnym gestem wyciągnął z pochwy regulaminowy pistolet.

- Pyskajcie! - rozkazał żandarmom z G.I.G.N., gdy pilot uruchomił obracane drzwi.

## Rozdział 18

Mężczyzna znowu znalazł się na linii strzału. Nie wolno mu spuszczać. Trzeba podejść odrobinę bliżej, bo wtedy będzie miał pewność, że znajdzie lepsze oparcie dla nóg i trafi. Co ludziska sobie wyobrażają? Że łatwo posługiwać się karabinem?

Z szybkością meteora dał cztery susy do przodu.

Zaskoczony Smantow błyskawicznie się odwrócił. Ale winchester już pluł ogniem. Lafaure nie odrywał palca od spustu. Użył sobie ile wlezie. Siła pocisków podzuciła Smantowa do góry, a potem przykleiła do skały niczym placek.

Manlay natychmiast dostrzegł otwierającą się przed nim szansę. Przykucnął, a następnie jak wystrzelony z procy skoczył na przeciwnika. Lafaure stracił równowagę, wypuścił karabin z ręki i zawył, bo pięść Manlaya wylądowała na jego genitaliach.

Kiedy Smantow wygrażał im pistoletem, Florence miała dosyć czasu, by ochłonać ze strachu. Podczas wymiany zdań między Manlayem a Rosjaninem, powoli odzyskała zimną krew i opanowała się. W obliczu kolejnej zmiany sytuacji nie wpadła w panikę. Rzuciła się do przodu, podniosła tokarewa i

odskoczyła raptownie, bo po nierównym podłożu groty obficie płynęła krew Smantowa.

Lafaure zobaczył, że w niego celuje i znieruchomiał. Twarz miał wykrzywioną bólem po ciosie, jaki dostał w podbrzusze. Kim jest ta dziwka, która trzyma go na muszce? Jak śmie? Przecież nie zamierzał zrobić jej żadnej krzywdy, chciał ją tylko wydmuchać!

Manlay wykorzystał chwilę słabości Lafaure'a i zadał mu kilka mocnych ciosów w podbródek. Bił z całej siły, z wściekłością, odreagowując napięcie, jakie czuł podczas rozmowy ze Smantowem. Zasypany gradem jego sierpowych, Lafaure stracił wreszcie przytomność.

- Zostaw go już - błagała Florence. -  
Zemdlał.

Zatrzymał w pół drogi pięść, która miała wylądować na zakrwawionej twarzy i wstał chwiejnie. Aż dotąd nie pomyślał o Justinie. Boże świąty, co się z nim stało? Podszedł do zmasakrowanych zwłok Smantowa. Kim był ten człowiek? - zastanawiał się.

- Ubierzmy się! - nalegała Florence, która teraz dygotała z zimna. Zabierajmy się stąd. Niedobrze mi się robi na widok tej krwi! A gdzie jest Justin?

- Spróbujemy się dowiedzieć. Masz rację, trzeba się ubierać. A tymczasem podaj mi pistolet.

Zrobiła, o co prosił. Zobaczył, że trzęsie się jak w febrze i pocałował ją w policzek.

- Pośpiesz się - rozkazał. Musimy znaleźć Justina. Będzie miał kłopoty przez tego trupa.

- Prawdopodobnie jeden z tych facetów jest szaleńcem, o którym wczoraj wieczorem mówili w radio - powiedziała. - Jak sądzisz, który?

-Drugi - odpowiedział bez wahania, rzucając okiem w stronę, gdzie leżał Christian Lafaure. Z powodu karabinu.

Dreńczyło go jednak pytanie, kim był człowiek, który pojawił się pierwszy. Jeśli drugi był szaleńcem, to dlaczego z tak zimną krwią zabił pierwszego? Można zwariować. Co zadecydowało, że od ubiegłego dnia on i Florence byli wmieszani w jakąś nieprawdopodobną historię? Przecież dotychczas wszystko się do nich uśmiechało?

Kończyli się ubierać, kiedy nagle usłyszał zdanie: *Tędy, panie poruczniku!...* Głos dobiegał z pierwszej groty, gdzie mieszkał Justin. Żandarmi - przemknęło mu przez głowę. Trzeba wiać. Palcem pokazał Florence korytarz, którym poszli wczoraj, by ukryć broń.

- Szybko, chodźmy już!
- Gliny! - powiedziała oddychając ciężko.
- Pośpiesz się!

Już ją popychał w stronę korytarza. Chwycił tokarewa i zatknął go za pasek spodni. Nagle przypomniał sobie o plecaku i fotografiach, o których wspominał nieznajomy. Leżały na samym dnie wraz z innymi równie drobnymi pamiątkami, do których był bardzo przywiązany. Za wszelką cenę musi się dowiedzieć, jaką wartość przedstawiają dla pewnych ludzi. Schylił się, chwycił za ramię i zarzucił plecak na ramiona. Florence zaczęła biec. Pędem puścił się za nią usiłując przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o topografii tych grot. Justin znał je na pamięć. Twierdził też, że chroniły się tu nie tyle jelenie, co kamizardowie w czasach dragonad zarządzonych przez Ludwika XIV. Od czasu do czasu do grot wpadało trochę światła przez komin otwierający

się na niebo. Manlay wiedział, że wszystko zależy od tego, czy się rozeźna w tej podziemnej płataninie, bo był to istny labirynt. Zapamiętał parę punktów orientacyjnych pozwalających nie zgubić się. Żandarmi na pewno ich nie znają i prawdopodobnie upłynie sporo czasu, nim przestaną kręcić się w kółko. W duchu podziękował Justinowi za to, że zaprowadził go w miejsce, które uważał za swą niemal wyłączną własność; swoje małe, niekwestionowane zresztą królestwo.

- Przepuść mnie, pójdę przodem - rozkazał dogoniwszy Florence. Niepewnym głosem usiłowała żartować z sytuacji:

- Jestem uciekinierką - szepnęła, gdy Manlay znalazł się obok niej. - Prawdopodobnie jedyną uciekinierką zatrudnianą przez Ministerstwo Oświaty Narodowej.

- Milcz - polecił. - Od tej chwili ani słowa więcej albo mów tylko szeptem.

- Nie krzyki, ale szepty - mruknęła pod nosem przypominając sobie film Ingmara Bergmana.

Znów wychodziła na jaw jej kultura filmowa, ale Manlayowi było to zupełnie obojętne. Miał na głowie inne kłopoty. Pociągnął Florence za sobą. Niebawem



odnalazł dywan z mchu, pod którym znajdowała się szczelina, w jakiej ukrył winchestera i tokarewa. Także Florence poznała to miejsce.

- Mogłeś wziąć karabin tego typka - szepnęła mu do ucha. - Nie musiałbyś zabierać swego.

- Zapominasz, że z tamtej broni zabito człowieka - zauważył.

Ciągnął ją za sobą, cały czas łowiąc uchem dźwięki. Czy żandarmi są daleko za nimi? I czy w ogóle ich ścigają? Dlaczego mieliby się teraz bać? Żandarmom wpadł w rękę wspaniały łup: zwłoki nieznajomego i nieruchome ciało poszukiwanego przez nich chorego psychicznie zbrojeńca. Chyba powinni się tym zadowolić. Jeśli przesłuchiwali Justina (co było wielce nieprawdopodobne), na pewno nie zdradził ludzi, którym udzielił schronienia. To nie w jego stylu.

Jego, Manlaya, nikt nie szukał. W radiu wymieniono jedynie nazwisko Florence i to tylko jako świadka. No cóż, może się jeszcze z tego jakoś wykaraska, ale najpierw trzeba wyjść z grot i dać nura w zarośla. A potem przedostać się do Włoch. Tak, to dobre rozwiązanie. Jeśli Florence zechce mu towarzyszyć, tym lepiej. Z fałszywymi paszportami, wtopieni w tłum letników, przekroczą granicę państwa pod Mentoną. Kiedy już będą w Ventimili, skontaktuje się z Brygadą Antymafijną. Będzie blefował: Powie, że ścigają go chłopaki z Prima Linea. Ludzie z Brygady Antymafijnej znajdą mu bezpieczne schronienie.

Czasem musiał posuwać się po omacku, bo grotły tonęły w ciemnościach. W pewnej chwili jego palce

wymacały na skalnej ścianie kształt krucyfiksu. Justin utrzymywał, że jest pamiątką po kamizardach. Manlay ucieszył się, gdyż oznaczało to, że są na dobrej drodze. W jakimś momencie Florence poślizgnęła się na wilgotnej, nierównej ziemi i całym ciężarem upadła mu na plecy. Zachwiał się i o mało nie runął jak długi. Potem rozciął sobie lewą dłoń o jakiś ostry występ i musiał ssać krew ciekącą z rany.

Przez jeden z napotkanych kominów światło padało na podziemną polankę. Droga się tu rozwidła. Manlay przystanął zdezorientowany. Nic już nie pamiętał. Florence przytuliła się do niego.

- I co teraz?

W pamięci starał się odtworzyć ruchy Justina: chyba poszedł tam na prawo, gdzie załom szczeliny tworzył coś w rodzaju landa.

- W prawo - zdecydował.

Kolejny ciemny korytarz, w którym pierzchały przerażone nietoperze. Palce Florence zacisnęły się kurczowo na dłoni Manlaya.

- Boję się - wyznała - Zawsze się bałam nietoperzy.

- Ależ one uciekają - uspokoił ją. - Nie zbliżą się do ciebie.

Mimo że się opierała, ciągnął ją dalej. Powietrze było chłodne, wilgotne, a czasem czuło się na plecach jeszcze zimniejszy powiew. Manlay uderzył głową o zniżające się sklepienie i stanął, by rozmasować sobie czoło.

- Ukłęknij - rzekł. - Dalej będziemy musieli się czołgać.

Przeszkadzał mu plecak. Zatrzymał się i zarzucił go na ramiona. Znów przypomniały mu się fotografie. Dlaczego były takie cenne? W pierwszej wolnej chwili będzie musiał dokładnie przyjrzeć się każdej z nich. Która była dla kogoś niebezpieczna? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Czasy OAS należały do przeszłości. Bastien-Thiry stanął przed plutonem egzekucyjnym, pozostałych uczestników zamachu ułaskawiono i wszyscy rozpoczęli normalne życie, poza Prevostem i Węgrem Vargą, którzy z rozpaczony zostali gangsterami. Zresztą Vargę zastrzelono podczas jednego z napadów. Później rząd ogłosił powszechną amnestię, która jednak nie objęła Manlaya.

W czyim interesie leżało wskrzeszanie owej zapomnianej przeszłości po przeszło dwudziestu latach?

Nie, doprawdy nie miał pojęcia.

Drugi krucyfiks. Odetchnął z ulgą. Toż to prawie droga krzyżowa. Może taki był ukryty zamysł kamizardów? Może chodziło im o odtworzenie drogi krzyżowej?

W każdym razie dotąd nie zabłądził.

- Już niedaleko - pocieszał Florence, która posuwała się za nim sapiąc niczym lokomotywa.

Wreszcie tunel się skończył. Zobaczyli obszerną grootę tonącą w powodzi światła. Woda ciekła strużkami ze ścian i tworzyła na środku wielką kałużę.

Podnieśli się i ucałowali. Florence uśmiechała się uszczęśliwiona.

- Zgubiliśmy ich - powiedziała radośnie. Ominęli kałużę i wyszli na słońce. Właśnie wtedy

Manlay zobaczył trzech ubranych po

cywilnemu

mężczyzn, z których dwaj celowali do nich z izraelskich mini-uzi. Szybko sięgnął za pasek spodni.

- Ognia - zakomenderował generał.

Mini pistolety maszynowe, cud techniki Tel-Awiwu, prawie bezgłośnie plunęły ogniem. Florence padła pierwsza na oczach przerażonego Manlaya, potem on dostał serię. Aż do końca dręczyły go pytania: Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego ta fotografia jest taka ważna? Zanim umarł, zrozumiał już bowiem, że jego śmierć ma jakiś związek z faktem posiadania fotografii, której żądał od niego nieznajomy w grocie.

Kiedy już wydał ostatnie tchnienie, do zwłok bez pośpiechu zbliżył się generał. Sebastiani i Bellaiche stali nieruchomo, czekając na dalsze rozkazy.

Generał przyklęknął i uważając, by nie powalać sobie rąk krwią, zdjął Manlayowi plecak. Wysypał jego zawartość na ziemię i po chwili trzymał w rękach plik fotografii. Dokładnie je przejrzał, gratulując sobie przeprowadzonej operacji. On także umiał czytać mapę sztabową. Był to nawet jego zawód. Z mapy, którą mu podał Sancerre, w lot zrozumiał, że ze skalnego masywu zwanego Legowiskiem Jeleni jest kilka wyjść. Gardinot, przejęty wiadomością o odkryciu przez G.I.G.N. kolejnych zwłok, nie podjął środków ostrożności, nie otoczył terenu. Był to niewybaczalny błąd. Dlatego generał kazał Sancerre'owi i dwóm wynajętym przez niego ludziom zostać z żandarmami penetrującymi pierwszą grotę, sam zaś w towarzystwie dwóch pozostałych gangsterów udał się helikopterem na drugi stok skalnego masywu, po czym odesłał

maszynę tam,

skąd ich zabrała. Było to pociągnięcie podwójnie korzystne: po pierwsze pozbył się Sancerre'a, a po drugie miał do dyspozycji dwóch gangsterów. Wiedział też, że jeśli ścigana przez nich zwierzyna wyjdzie na Sancerre'a, ten będzie wiedział, jak się zachować. Generał był więc pewien wygranej.

Promieniał: szczęście uśmiechnęło się do niego. Wkrótce w pliku fotografii odnalazł tę, o którą chodziło.

Było to niesłychanie kompromitujące zdjęcie. Świetnie pamiętał owo spotkanie z Bastienem-Thiry-m. Umówili się na bulwarze des Capucines pod słupem ogłoszeniowym, na którym widniały programy paryskich spektakli. Nie mogło być nawet wątpliwości co do daty, bo na jednym z afiszów widniał wielki napis: „Sobota, 18 sierpnia. Jedyne koncerty Elli Fitzgerald w Paryżu”. Śpiewaczka jechała potem na występy na Lazurowe Wybrzeże. Sobota, 18 sierpnia 1962, dwa dni przed zamachem w Petit-Clamart. Fotografia dowodziła zatem, że istniał związek między przyszłym generałem a człowiekiem, który za dwa dni miał podjąć próbę zabicia generała de Gaulle'a. A jeśli tak, wiedziało się, kto był zdrajcą pracującym w Pałacu Elizejskim, albowiem to on, Tanguy de Viellebois de Natachat poinformował spiskowców, jaką trasą będzie jechał prezydent do Villacoublay. Bastien-Thiry miał więc wystarczająco dużo czasu, by rozstawić tam swoich morderców. Lub mścicieli - jak tytułowali sami siebie.

Naturalnie nie był na tyle głupi, by telefonować przez centralę Pałacu Elizejskiego. Skądże. Pewna stara dama, uczestniczka spisku,

która mieszkała



na piątym piętrze w jednym z domów na Faubourg Saint-Honore, nieustannie obserwowała okna jego gabinetu. Umówionym alfabetem przy pomocy kotary nadał jej informację, a ona przekazała ją pułkownikowi Bastien-Thiry, który czekał na jej telefon w jakiejś piwiarni.

W owych czasach Tanguy de Viellebois de Natachat był młodym porucznikiem przydzielonym do gabinetu wojskowego prezydenta Republiki. Generał Charles de Gaulle wysoko go cenił, zawiódł jednak jego zaufanie i to wcale nie z pobudek ideologicznych. Kombatanci walczący o francuską Algierię nic go nie obchodzili. Zrobił to z oportuni-zu politycznego. W owych burzliwych czasach wielu polityków z utęsknieniem czekało na śmierć „człowieka z Londynu”, jak nazywano generała. Wówczas ludzie ci nie byli znanymi osobistościami. Teraz niektórzy z nich zajmowali eksponowane stanowiska i musieli pamiętać o wyświadczonych dawniej przysługach. Właśnie dlatego Tanguy de Viellebois de Natachat stał obecnie na czele Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Zewnętrznego.

Podczas procesu zamachowców z Petit-Clamart bardzo się bał. A jeśli Bastien-Thiry wymieni jego nazwisko? Pułkownik nie powiedział wprawdzie niczego konkretnego, przyznał jednak, że przygotowując zamach korzystał z pomocy współpracowników pracujących w Pałacu Elizejskim.

Śledztwo prowadził wywiad, który wziął pod lupę cały personel pałacu prezydenckiego. Nic to nie dało. Podejrzenia nigdy nie skierowały się na niego, wszelako wywiad zyskał pewność, że

wśród personelu pałacu znajduje się zdrajca. Zresztą wkrótce po zakończeniu śledztwa przeniesiono go do jednego z garnizonów w Niemczech, gdzie w stopniu kapitana dowodził kompanią.

Jego dramat polegał na tym, że zawsze kierował się ambicją. Najpierw ożenił się z bogatą panną z ustosunkowanej rodziny. Uczucie nie było mocną stroną tego związku, jednak zapewniał mu on solidne oparcie w dalszej karierze. Elity polityczne, które zamierzały przejąć władzę po fizycznym wyeliminowaniu generała de Gaulle'a, uznały, że młodego, ambitnego polityka najlepiej będzie awansować i tym samym zamknąć mu usta. Ludzie ci postawili wprawdzie na sukces akcji paru straceńców, ale kiedy się nie powiodła, pogodzili się z sytuacją.

I cały ten piękny gmach o mało nie runął z powodu jednego kompromitującego zdjęcia, które zrobił facet z obstawy Bastiena-Thiry'ego. Jakże ważną rolę w życiu człowieka odgrywają imponderabilia!

Pstryknęła zapalniczka: generał najpierw przypalił cygaro, a potem przytknął płomień do pliku fotografii, z których wkrótce pozostała jedynie kupka rozżarzonego popiołu wydzielającego nieprzyjemny zapach. Potem uświadomił sobie, że to nie koniec jego problemów: pozostał jeszcze jeden człowiek, który wie. Teraz nie ma dowodów, ale wie.

Sancerre.

Generał podniósł się i długo pociągał dym z cygara. Dwaj gangsterzy stali bez ruchu i patrzyli na niego twardo. Zastanawiał się, jaką nagrodę obiecał im Sancerre? W gruncie rzeczy miało to

niewielkie znaczenie. Dzięki paru korzystnym pociągnięciom.

sekretne fundusze, jakimi dysponowała Dyrekcja Generalna, były praktycznie nieograniczone. Jego spojrzenie zatrzymało się dłużej na ciele Florence. Szkoda, pomyślał z żalem, ładna dziewczyna. Po czorta wpakowała się w taką kabałę? Na domiar złego to osoba nauczająca w liceum. Dokąd zmierza kraj, jeśli pedagodzy idą ręką w rękę z awanturnikami?

Spokojnie, bez pośpiechu podszedł do Sebastianiego.

- Człowiek, który was zaangażował – powiedział swym miłym, życzliwym głosem - jest już zbędny...

Sebastiani uśmiechnął się bezceremonialnie.

- Ile jest pan gotów zapłacić? - spytał.

*KONIEC*

„K.B.”